



1926  
1936

1936

1926

1936

nr. 2



# ŚWIAT SZKOLNY

Miesięcznik Młodzieży Szkół Średnich Częstochowy

Rok X

Kwiecień 1936

Nr. 2 (58)

## ONI I MY.

Mam przed oczyma obraz dziesięcioletniej pracy. Pracy zbiorowej, pracy setek ludzi. Widzę na wierzchu pierwszy numer. Poszarzał jakoś od starości, przyblakł. Jest bez okładki, ma zwyczajny papier. Biedny jakiś zewnętrznie, ubożuchny, nieśmiały.

Czytałem go przed chwilą. Ma pełny zapach artykuł wstępny — „Razem młodzi przyjaciele“. Znamienne. Nazwali się nasi poprzednicy — przyjaciółmi — podali sobie dłonie i powiedzieli — razem młodzi.

Była ich grupka. Ale zapachu wystarczyło za wszystkich. Więc zaczęli się do nich zbliżać inni. Żeby się przypatrzeć — ot, tak z ciekawości — co oni robią. A oni budowali „organ młodzieży szkół częstochowskich, któryby mógł zjednoczyć ją, zespolić, ożywić współżycie jej, zadzierżgnąć między nią najściślejsze węzły koleżeńskie, kształcić i poznawać się wzajemnie przez wymianę myśli oraz przygotować ją do życia obywatelsko-społecznego“.

Praca była ciężka. Młodych nie można porwać takimi hasłami — młodych trzeba przekonać, młodym trzeba pokazać od razu korzyści, względnie... przyjemności, z tych hasła wypływające. Więc trzeba było to zrobić. Zaczęło się wydawanie „Świata Szkolnego“ — taką bowiem nazwę ów powstający „organ“ otrzymał.

Weź więc do ręki wszystkie numery i oglądaj ze mną — a dowiesz się wielu ciekawych rzeczy.

Patrz! To jest nietylko historia tego pisma, ale młodzieży. Przerzucaj kartki! O czym piszą? Kto pisze? Tu widzisz prace literackie, wiersze, nowelki, — tu humor. To „Zagłoba“ docina płci nadobnej, — tu — Helena Skrzetuska — odwajemnia mu się z procentem. Tutaj znów ktoś dowodzi, „że praca społeczna dużą odgrywa rolę, że kształci charakter, że uczy wiele“. Tak. Prawda. Ale chodźmy dalej. Tylko mała uwaga. Czyś zauważył zmianę zewnętrzną? Już okładka jest i objętość większa. To dziesiąty numer. Otwórz go! Widzisz, jaki ładny. Są fotografie już i karykatury. Dalej! Czytaj! „Słów kilka“. — „Obecny rok szkolny a zarazem wydawniczy, rozpoczęliśmy szczęśliwie, podnosząc znacznie poziom pisma, na

czem szczególnie zyskała szata zewnętrzna i objętość; wreszcie liczba naszych czytelników wzrosła w dwójnasób.“ — a dalej — „Pamiętajmy, że nasz „Świat Szk.“ dotąd nie zawodził, więc trochę dobrej woli i wysiłku, a zakończymy tegoroczną pracę również chlubnie, jak zaczęliśmy. Wzywamy Was pod sztandar wspólnej pracy.“

Tu masz wywiad z gen. M. Zaruskim. Mówi o młodzieży, jej znaczeniu. Zachęca do pracy społecznej, pracy ofiarnej, pracy dla Polski.

A tu. Widzisz? Tu masz „Bilans tegorocznej pracy“. Rok drugi. Czytaj! „Pracowaliśmy pod hasłem „Sami sobie — wiele“.

„I czegośmy dokonali? Ożywiliśmy współżycie młodzieży, zadzierżgnęliśmy węzły koleżeństwa, kształciliśmy się — na co może wskazać dość pokaźna liczba artykułów o treści społecznej, literackiej, naukowej, sportowej, rozrywkowej“.

Dużoście dokonali. Szkoda tylko, że dzieło wasze nie było trwałe. Bo oto już w roku następnym zaczęliście utyskiwać, zaczęliście narzekać na brak zainteresowania, ideałów i t. d. Stara to rzecz i jedna, jedyna, którą my, Polacy, najlepiej robimy. Umiemy narzekać. A czasem to nawet (a jakże, niestety, często) znajdujemy dziurę w całym.

Ale oglądajmy dalej! Widzisz? Tu coś ciekawego będzie. To rok już czwarty. Aha — to wezwanie do wszystkich, młodszych i starszych, o popieranie pisemka. Jednocześnie radosna wiadomość. Nakład dochodzi do 1000 egzemplarzy. Co za szczęście! Piszą o „nowozaprowadzonej organizacji, która wciągnęła wszystkie szkoły do współpracy z pisemkiem“. Szkoda, że nie powiedzieli o sposobie, w jaki to zrobili. Prawda? Można by było skorzystać. W artykułach z tego roku widać zwrot ku przyrodzie, wzmoczone zainteresowanie lotnictwem, ogłoszenie „tygodnia poprawnego mówienia po polsku“, — powiększanie się zainteresowań młodszych, których kącik z powodu napływu prac rośnie i rośnie, — niknie humor — prawie niema go. Od czasu do czasu pojawia się w postaci opisów wieczorków (rymowane) —

zato dużo jest fotografii: okręty, samoloty, domy, sportowcy.

Patrz, numer ostatni z tego roku. Artykuł wstępny „Robiliśmy, cośmy mogli. No i zrobiliśmy dość dużo. Nie dało zapewnić się tylko podstaw finansowych piśmku. Niech popracują nad tem następcy“. I następcy znów zaczęli. Ten rok pozostawał pod znakiem wybitnej przewagi artykułów o treści historycznej, nawiązujących do wydarzeń dziejowych Polski. Czy nie dziwi cię to? Ale czytaj! Są też bardzo dobre artykuły literackie. Prawda? No, tu przecież nie narzekają na siebie. Nie mówią o brakach... i t. d. Widocznie nie było ich. Ale gdzie tam. Za jakiś czas znów zaczynają. I wciąż to samo. Jacy wszyscy są podobni do siebie. Jacy myśmy podobni do nich. Oni narzekali przez cały czas, i my narzekamy. Oni pracowali i my pracujemy. Oni spodziewali się owoców swej pracy i my je zobaczymy. Im przeszkadzano — niektórzy bruździli umyślnie — nam też przeszkadzają i bruźdzą. Oni się nie zrażali — my też.

Widzisz, żeśmy do tamtej z przed dziesięciu, ośmiu, pięciu lat młodzieży — grodu podjasnogórskiego — podobni.

Oglądajmy jednak dalej!

To już rok siódmy.

Mówisz, że widać to? Piśmko zaczyna chylić się. Tak, tak. Wolno najpierw, ale nadół zawsze. To rok siódmy, ósmy, dziewiąty... Tak. Masz rację. To można wyczuć. Redaktor pisze płomienne odezwy. Nic nie pomaga. Czytelników coraz mniej. Chociaż — prace bardzo dobre. Widzisz „brak zrozumienia“ — trochę osobiste właśnie... Z dziewiątego roku tylko trzy numery. Coś tam się popsulo... Trzeba to więc teraz czempredziej naprawić. Tak. Mówisz, że to przejściowe, że każda rzecz ma swój najwyższy punkt wzniesienia, potem opada, by znów się podnieść? Może... A my jesteśmy właśnie w tym okresie przełomowym...

Tak. Masz rację. Trudno nam jest rzeczywiście, ale nie damy się.

A kiedy my ustąpimy z tej placówki, to oddamy tę sprawę w godne ręce, oddamy w czyste ręce i przekazemy jedno hasło: — Wyplenić warcholstwo z pośród młodzieży!

I wierzymy, że zrobią to, a wtedy pismo znów odzyska swój pełny blask — i stanie wysoko...

*Redaktor.*

Obok na zdjęciu  
uwidoczniiony  
jest Komitet  
redakcyjny  
„Świata Szkol-  
nego“.



Od lewej strony  
kol. Żebrowski,  
col. Żesławski (red.)  
kol. Mirmanówna,  
p. P. Bojarska  
kuratorka),  
kol. Zieńczyk,  
kol. Teclaf.

## PAMIĘCI P. HALINY PŁODOWSKIEJ.

Dziesięć lat temu, gdy powstawał „Świat Szkolny“ kuratorką jego została pani prof. Halina Płodowska.

Dziś, kiedy piersi nasze rozpięra duma z dokonanego dzieła, z dziesięcioletniego dorobku literackiego, myśli nasze muszą się zwrócić ku Tej, która przez tyle lat prowadziła nas i kierowała naszymi młodemi charakterami, a chmu-

ra smutku osiedzie na naszych czołach, bo odeszła od nas nazawsze; lecz pamięć o Niej żyje w naszych sercach, a w głębiach dusz kiełkuje, zasiane przez Nią, ideje. Pamiętam, jak zawsze czekaliśmy na Jej lekcje i zasłuchani w Jej głos, marzyliśmy o walce przyszłej za prawdę i za młodzieńcze ideały.

Każda Jej lekcja była dla nas czemś no-

wem, bo otwierała nam nowe horyzonty myśli, nowe odkrywała prawdy.

Stała się dla nas czemś więcej, niż nauczycielem, czemś bardziej bliskim, bo umiała w nas wzbudzić zapał i umiłowanie piękna.

Dziś niema Jej wśród nas. Nie może się cie-

zyć i być dumną ze swego dzieła, które znowu zaczyna żyć i rozwijać się, by coraz więcej młodzieży zachęcać do współpracy i raz stanąwszy na mocnej podstawie trwać dopóty, dopóki pamięć jego twórcy pozostanie w sercach młodych.

L. Teclaff.

## Od Czytelnika.

Najistotniejszym elementem życia szkolnego jest ciągle doskonalenie się, ciągły postęp i rozszerzanie poglądów w dziedzinach wiedzy i życia współczesnego. Rozwój ten zmusza do szukania dla naszych dążeń coraz to nowych, doskonalszych form ich urzeczywistnienia i nadaje naszym poczynaniom cechę zmienności, niestałości. To też dziesięciolecie ciągłej, w jednej myśli prowadzonej pracy jest w naszych stosunkach zjawiskiem rzadkiem, a jednocześnie stwierdza, że praca ta ma podłoże głębsze, założenia, których słuszność uznają różnorodne i w rozmaitym kierunku idące fale młodzieży, przechodzące w tym okresie przez szkołę. Dziesięciolecie „Świata Szkolnego“ jest więc przede wszystkim triumfem jego założeń. Powstał, jako forma współżycia młodzieży, jako płaszczyzna wymiany myśli i urzeczywistnienia naszych dążeń, których treść i forma są podstawą do wnioskowania, jakie wartości nowe młodzież reprezentuje, czy idzie z hasłem „Dalej, bryło z posad świata! Nowemi cię pchniemy tory“, czy też jest tylko odbiciem życia społeczeństwa, tkwiącego w wielu dziedzinach, w pojęciach już przebrzmiałych.

Miernikiem wartości pisma jest poszukiwanie i budowanie nowych dróg dla myśli samodzielnej, a także jej szczerłość i śmiałość. Przeglądając nasz dorobek 57 numerów i doszukując się w nich tych wartości — widzimy, jak wielką ewolucję przeszedł świat: od tłumaczeń, z a d a ñ szkolnych, kompilacji do artykułów 1933 — 36 r., stwierdzających jasno uświadomienie, ciągłą i śmiałą dążność do tworzenia rzeczy nowych, na własnym dorobku myślowym opartych; od szaty zewnętrznej, żadnych określonych dążeń artystycznych nie wykazującej, do graficznych ujęć numerów lat 1933 — 1936, które postawiły „Świat Szkolny“ w rzędzie najlepiej wydawanych pism młodzieżowych.

Zdawaćby się mogło, że wraz z podnoszeniem się poziomu pisma wzrastać powinna ilość czytelników. Niestety, tak nie jest: w ciągu 10-ciu lat nakład wynosił, z małemi wahaniami, 500 egz. Ten fakt każe się domyślać głębszych przyczyn poza stosunkowo wysoką ceną. Czy poczynania najaktywniejszej części młodzieży nie znajdują zrozumienia wśród ogółu? Czy jasno wytknięta droga samodzielnego tworzenia nie wszystkim odpowiada? Zdaje mi się,

że w stagnacji i pewnego rodzaju zacofaniu leży częściowo przyczyna tak małej ilości czytelników. Zadaniem „Świata Szkolnego“ w tej dziedzinie trudno byłoby znaleźć taką drogę, aby nie obniżając poziomu obecnego, wartości, które „Świat“ reprezentuje, stać się mogły wspólnym dobrem młodzieży częstochowskiej.

Jeżeli zaś „Świat Szkolny“ nie jest wyrazem dążeń i zamiłowania ogółu młodzieży — z takim zarzutem można się spotkać, — to tak stawiająca kwestję część młodzieży pamiętać powinna, że twórczemu wysiłkowi tylko wysiłek twórczy można przeciwstawić.

Czytelnik chce, aby zawsze z łamów pisma przebijało to, co określiłem jako miernik wartości pisma: poszukiwanie i wyznaczanie nowych torów dla samodzielnej, szczerzej, daleko sięgającej myśli.

Jeśli tem kierować się będzie Komitet Redakcyjny, prowadząc „Świat Szkolny“, to bezwzględnie przyczyni się do wytworzenia typu człowieka o twórczej, a zarazem krytycznej postawie wobec życia — a to mają na celu wszystkie poczynania młodzieży.

J. S. VI. GPRT.

## DLACZEGO?

*Dlaczego nie mam skrzydeł, jak ten sokół,  
By ponad góry i morza się wzbić,  
By wlecieć wyżej, spojrzeć na świat wokół,  
Oddychać słońcem, a nie błotem żyć?*

*Dlaczego nie mam siły, jak tytany,  
By stary, brudny, zdeptać świat?  
By zło zabiwszy, leczyć ludziom rany,  
By ludzie ludziom byli: bratu — brat?*

*Dlaczego siła jakaś niewidoczna  
Spycha mię ciągle w lepką życia maź,  
Gdzie otchłań czarna i pustynia mroczna,  
Gdzie fałszem śmiechu szczęście trzeba brać...*

*Dajcie mi siły, sił twórczej przyrody,  
Któremi zburzę i zbuduję świat!  
Wszak ja mam ducha, wszak ja jestem młody!  
Czy lot mam zniżyć, abym w błoto padł?*

H. Urbanowicz. GPHS.

# Czy wszyscy się zgadzamy ?

## Przebudować psychikę!

Wojna! To słowo, które elektryzuje umysły wszystkich, to jakieś widmo-zmora, która co pewien czas pojawia się w życiu narodów i społeczeństw poto jedynie, by nurzać we krwi tysiące i miliony niewinnych zupełnie, spokojnych, dobrych ludzi, by ślać drogi, któremi ona ciągnie, stosami trupów tych, co chcieliby żyć i pracować.

Tak myślą dziś niektórzy.

Mnie się natomiast zawsze, ilekroć o wojnie myślę, wydaje, że wojna jednak nie jest tylko i wyłącznie czynnikiem burzącym dotychczasowe konstrukcje, ale, że jest także wartością twórczą.

Powie zapewne w tem miejscu niejeden: „Oszała! Wojna i wartość twórcza — warte śmiechu! Kpi ten człowiek, czy o drogę pyta?“

Ani jedno, ani drugie.

Natomiast tak jest, jak mówię. Wojna jest czasem wartością twórczą! A jest nią wtedy, gdy jest drogą do realizacji jakiejś wielkiej idei człowieka np. idei wolności, idei potęgi, wypływającej z miłości ojczyzny, jako wyłącznego uczucia i t. p.

Niektórym się zdaje, że wojna miesie tylko niedolę, ubóstwo, upadek moralny i fizyczny społeczeństw, upadek kultury narodów i pod tym kątem spoglądają na nią. Tymczasem takie zapatrywanie nie jest bynajmniej słusznym, ma w sobie kilka małych „ale“ i przez to jest nie do przyjęcia. Mojem zdaniem, śmierć jednych — to życie dla drugich. Takie już jest prawo w naturze, że jedni muszą ginąć poto, by drudzy mogli żyć i z tem się trzeba pogodzić.

Już życie samo jest walką o jedno: o możliwość utrzymania się na powierzchni, o możliwość egzystencji. Pięknie to określił Żeromski przez usta Sułkowskiego: „dzieje świata są dziejami zwycięstw ludzi nad ludźmi“. Gina w życiu jedynie słabi, a zwycięzcami pozostają ci, którzy potrafili zmobilizować pewien zasób sił i energii.

Twórczą następnie — twierdzą — jest wojna, gdy na miejscu starych przesądów i wogóle na miejsce tego, co nazywamy brakiem kultury lub jej niskim poziomem niesie nową, wyższą. Dlatego nie sędzę, by np. tak dziś aktualna sprawa, jaką jest wojna w Afryce Wschodniej, miała nie wyjść na dobre nawet stronie pokonanej. Przeciwnie, twierdzą, że ta właśnie wojna Abisynji z cywilizacją Zachodu przyczyni się do podniesienia stopnia kulturalnego, do przeszczepienia na teren, który pozostanie Abisynji, tych zdobyczy cywilizacyjnych,

których brak dziś tak fatalnie odbił się dla niej na przebiegu wojennych działań.

My wogóle, gdy chodzi o te sprawy, lubimy się kierować raczej sentymentem, aniżeli rozumem. Czy jednak to trochę nie zawiele? I czy to nam zawsze na dobre wychodzi? Zastanówmy się!

Czy czasem nie podchodzimy do tej sprawy cokolwiek, nie powiem z odrazą, a z pewnym lękiem? Zdaje mi się, że w podejściu naszym do tych spraw, które określiłem mianem „wojna“, brak bezpośredniości, brak poczucia rzeczywistości.

Nam dziś, gdy inni inaczej się na te sprawy zapatrują, nie wolno zajmować takiego stanowiska! Gdy dla innych jest wojna pewnym środkiem, do celu prowadzącym, drogą do realizacji pewnych idei, to dla nas nie jest rzeczą oczywistą, ale jakimś ohydny monstrum, co dusi szyję i dech tamuje.

Mówimy często: „Kochamy pokój“. Zgoda. Ale czy dziś chcieć go kochać, a nawet kochać, bez tego słowa „chcieć“, czy to wystarcza. Czy stanowisko takie nie jest czasem równoznaczne z zamykaniem oczu na to, co się wokół dzieje?

Zdaje mi się, gdy patrzę na życie współczesne, że ludzkość dzisiejsza składa się z pijanych, którzy szukają drogi wyjścia, a znaleźć jej nigdy nie mogą, i z tych, których ogarnęła gorączka pracy. Pierwsi — to ci, co na gadaninie, na deklamowaniu z patosem na zjazdach, sesjach i t. p. rzeczach tracą niepotrzebnie czas nad wynalezieniem takiego „złotego środka“ współżycia narodów, któryby raz na zawsze odsunął widmo wojny, słowem — zbawił ludzkość.

Drudzy to ci, którzy właśnie czas, zmarnowany przez tamtych, odpowiednio wyzyskują, to ci, co mało mówią, ale zato wiele czynią.

I pracę pierwszych oceniam mianem budowania wielkich drapaczy nieba, którym brak fundamentów i pytam: poco ta praca? Nie wierzę i nigdy nie uwierzę w to, że kiedyś zniknie przeklęty upiór, trapiący umysły poczciwców, że ludzkość zacznie się społecznie miłować!

Wojna, jak była przed lat tysiącami, jak jest, tak i będzie w przyszłości, chyba, że ludzie zamienią się w... aniołów, ale do tego — niestety, nie dojdzie.

Bądźmy pewni!

A zatem co pozostaje?

Czuwać! Czuwać i być gotowymi! Lecz, aby to się stało, trzeba przedtem przebudować psy-

chikę niektórych w myśl starej rzymskiej maksymy: „Si vis pacem, para bellum“.

I jeszcze jedno: Przestać mówić, jak to często miałem możność słyszeć: „Pójdę na wojnę, bo muszę, bo w przeciwnym razie grozi mi kula w łeb“, — a zacząć myśleć, że pójdę dobrowolnie, bo ktoś woła, ktoś, kto żywi, poto, by kiedyś ci, którzy po mnie przyjdą, mogli przez

pewien czas zażywać tego, czego ja dotąd zażywałem: pokoju i, że kiedyś może na czas krótki „zazielenią się nowe pola, zakwitną nowe łąki“ nowem szczęściem... Podejść do tych spraw bardziej bezpośrednio, ujmować te rzeczy tak, jakimi są!

L. Skowroński, VIII. GPHS.

## Nasze zainteresowania.

Pominawszy różne, w tę czy inną stronę skierowane odchylenia, należy zauważyć, że wszelkie przejawy życia są rozpatrywane przez młodzież współczesną raczej pod materialistycznym kątem widzenia. Ten właśnie realizm wydaje mi się najbardziej charakterystyczną cechą dzisiejszej młodzieży. Przegląd głównych kierunków zainteresowań będąc przedewszystkiem robił ze stanowiska męskiej młodzieży szkół średnich, gdyż to stanowisko jest mi najbardziej znane.

*Literatura i sztuka.* Zainteresowanych czy to malarstwem, czy to rzeźbiarstwem jest tak mało, że możnaby ich na palcach policzyć. To samo można powiedzieć o poezji. Nowsza jest prawie zupełnie nieznaną, a dawniejszą zna się tylko z tego powodu, że jest „wałkowana“ w szkole. Osobne w niej miejsce zajmują romantycy. Nastawienie w stosunku do nich jest raczej niechętnie. Starania idą w kierunku odbronzowania głównych przedstawicieli, a więc trzech wieszczów. Najbardziej drażni tutaj niezgoda między głoszonymi hasłami, a postępowaniem w życiu. Na tym punkcie najczęściej jest gorących dysput. Do jakiego stopnia niepopularny jest np. Słowacki, to najlepiej mówi często słyszane zdanie, że należałoby umieścić go w szpitalu dla nerwowo chorych w rodzaju dzisiejszego Kulparkowa. Inaczej przedstawia się sprawa z prozą. Cieszy się ona dosyć dużym zainteresowaniem, i to przedewszystkiem nowsza. Dużo czyta się książek, omawiających problemy społeczno-obyczajowe, a więc obcych: Sinclair, Knickebocker, Huxley, Russel, z naszych Bandrowski, Mostowicz, Nowakowski, Boy, ostatnio Kurek. Niemniejszą poczytnością cieszą się książki wojenne w stylu Remarque'a, które z powodu swych tendencji wiążą się z poprzednimi. Pozatem podróżnicze, a więc Ossendowski, Sieroszewski, London, no i wreszcie kryminalne.

*Nauka.* Trochę dzieł z psychologii i tak modnej psychoanalizy Freuda. Nadto czytuje się sporą ilość dzieł popularnych z dziedziny przyrody, historii, nauk związanych z problemami lotniczymi i morskimi. Filozofów, jak Schopenhauera, Nitzsche'go, Kanta prawie się nie czyta.

*Ideje społeczne i polityka.* Zrobiłem takie zestawienie, bo kierunki dążeń w tych dziedzinach zazębiają się o siebie. Najwięcej zainteresowanych znajduje polityka wewnętrzna. — Tutaj, jak zwykle, zgrubsza można podzielić młodzież na dwa odłamy; prorządowy i opozycyjny. Który obóz jest liczniejszy, trudno powiedzieć z tego względu, że jest dużo takich, którzy z różnych powodów kryją się ze swymi przekonaniem. O ile chodzi o ideje społeczne, jak np. socjalizm, to nie znajduje on specjalnie wielu zwolenników. Popularniejszy jest faszyzm, ale w ujęciu bardziej złagodzone, niż to ma miejsce w Niemczech, czy we Włoszech. Reasumując, należy stwierdzić, że jakiegoś charakterystycznego kierunku społecznego młodzież nie posiada. Gdy bowiem dążenia młodzieży przedwojennej były jasno sprecyzowane, to dążenia dzisiejszej są mieszaną najrozmaitszych, nawet krańcowo różnych, poglądów. Ważną również rolę odgrywa w życiu współczesnej młodzieży sport. Nie absorbuje on jednak młodzieży aż tak, jak to sobie wyobraża starsze pokolenie. Tak mniej więcej wygląda zarys głównych zainteresowań współczesnej młodzieży.

Zbislawski Z. GPHS.

Tak sądzi kolega Zbislawski. A Wy? Napewno nie zgodzicie się z niektórymi wywodami — uważamy je za zbyt jednostronne. Koleżanki będą miały okazję napisać coś o swoich zainteresowaniach, gdyż autor zupełnie to pominął.

## OPTYMIZM I PESYMIZM.

Ludzie nauki walczą ze śmiercią, walczą z tysiącem plag, trapiących ludzkość, trwają uporczywie na swych posterunkach: wyniosłe, białe postacie, których najwierniejszymi przyjaciółmi są: lancet, mikroskop, szczepionka i małe świnki morskie. Zajęciem i celem ich życia jest walka ze śmiercią. Odsunąć widmo

śmierci jaknajdalej. Wytworzyć w próbkach laboratorium cudowny jakiś eliksir, który dostawszy się do żył, wlewałby w nie nieprzezwyciężoną siłę żywotną. Utopja... Należy się zabrać pokolei do wszystkich chorób, które wysyłają ludzi do państwa Walhalli. Trzeba walczyć z gruźlicą, anemią złośliwą, tyfusem pla-

mistym, cukrzycą... i t. p. chorobami zakaźnymi.

Należy badać, pokonywać tysiące trudności, narażać własne życie. Ciekawe, co za siła podtrzymuje owych bojowników ze śmiercią. Jedynie chyba wiara we własne ja, wiara w powodzenie, stuprocentowy optymizm. Czy jednak nigdy nie odzywa się złośliwy szept: „Do niczego nie dojdiesz! wysmieją cię! wszystko co zamysłasz, to głupie dzieciństwo; największe powagi nauki nie odkryły tego, a ty się na to porywasz?“ Z całą pewnością dręczą skołataną głowę podobne myśli, ale nie wiedzą, że są bronią obosieczną. Miast wlewać jad zwątpienia, pobudzają do bardziej intensywnej pracy. To dziwne skojarzenie dwóch sił daje jedną wypadkową: stalowy opór. I charakterystyczną jest rzeczą, że jeżeli wpieryw zagnieździ się w umyśle optymizm, to występujący potem pesymistyczny szept posiada raczej charakter krytyczny i w rezultacie staje się siłą konieczną, dobroczynną. Pobudza do analizy czynu i jako ostateczny efekt wydaje, wespół z optymizmem, dzieło całkowicie opracowane. Jednak niezawsze spotykamy tego rodzaju korelację. Czasem pesymizm jest siłą całkowicie druzgocącą moce twórcze. A staje się to wtedy, gdy opanuje duszę ludzką i opasawszy nakształt macek polipa, isse z niej wiarę w siebie, a zapładnia robaczywymi mikroorganizmami chorobę, której na imię niemoc. Wtedy w umyśle chorego człowieka rodzą się tysiące filozoficznych, a niedorzecznych myśli, które dadzą się sprowadzić do wspólnego mianownika: absurdu.

Z całą pewnością mogę stwierdzić, że taki człowiek już nic z siebie nie wyda, bo zawsze będzie go dręczyć pytanie: pocóż będę to robił? przecież i tak mi się nie uda! Trudno wymagać od tego rodzaju strażnika jakiegokolwiek wysiłku. Zgóry sobie powie: i tak przegram! Mam więc wrażenie, że należy się z tem

zgodzić, iż pesymizm, głęboko zakorzeniony w psychice, przekreśla wszelkie możliwości twórcze. W ostatecznej konkluzji stwierdzam, że siłą twórczą jest bezwątpienia optymizm, a pesymizm ma tylko w pewnych wypadkach własności krytyczne, własności, dodające bodźca maszynie twórczej. Wszelkie inne przejawy, charakteryzujące się całkowitem opanowaniem osobowości przez pesymizm, są wybitnie niszczycielskie, płodzące niemoc. Zdolnym do pozytywnej, twórczej pracy, jest tylko optymista, który wierzy w to, co zamierza przedsięwziąć.

Wyobraźmy sobie Semmelweisa, niewierzącego w to, że uda mu się zdławić niszczycielski, morderczy plon gorączki połogowej. Wyobraźmy sobie Szantinga, który wynalazł insulinę, niemającego wiary w swe bohaterkie eksperymenty. Wyobraźmy sobie Flinsena, niewierzącego w skuteczność jego sztucznego światła. Wyobraźmy sobie Schaudina, niewierzącego w to, że znajdzie w polu mikroskopu błady strach, potwornie „spirochasta pallida“. Wyobraźmy sobie... Mógłbym przytaczać nieskończoną ilość argumentów na potwierdzenie zdania, że tylko ludzie, wierzący w siebie, wierzący w swe eksperymenty, stworzą i dadzą światu rzecz wielką. Mógłbym przedstawić nieskończony korowód śmiałych, wytrwałych i ciekawych badaczy, walczących ze śmiercią, która na nich czyhała, podać dzieje ich niezmordowanych wycieczek w nowy, fantastyczny świat, który usiłowali odsłonić ci nieustannie walczący wojownicy. Niekiedy szli poomacku, niekiedy popełniali omyłki i łudzili się próżnemi nadziejami. Byli i tacy, którzy znajdowali śmierć — zabici przez nieskończenie maleńkich zbrodniarzy, których właśnie tropili — i ginęli zapomniani. Nigdy jednak nie wygasło w nich potężne ognisko optymizmu. Wierzyli w siebie...

Zbigniew Szpigiel. GPHS.

## SPORT... SPORT!

MOTTO: Sport zbliża narody...

Dużo się mówi obecnie o sporcie. Olimpiada! Zawody międzypaństwowe!

Olbrzymie, olśniewające światła neonów w błyszczą imionami sportowców: „Jutro mecz z udziałem mistrza X.“ Gasną powoli, aby po sekundzie rozblysnąć na nowo, obwieszczając światu arcyciekawą nowinę.

Nadchodzi wreszcie to „jutro“.

Od samego rana przed gmachem cyrku, gdzie właśnie ma się rozegrać ów wielki mecz, gromadzą się tłumy publiczności. Przed kasami tłoczą się dziesiątki, setki, tysiące...

Wieczór...

Przed gmachem cyrku faluje czarna, żywa masa. Otworzyli drzwi i z łoskotem, trzaskiem i krzykiem czarna masa wpłynęła do wnętrza. Zalała galerję, krzesła, łoże.

Nagle rozblysło światło reflektora. Zaczęło się zwolna uciszać.

Na ring wbiegło trzech ludzi. Rozpoczęły się przygotowania do walki. Przeciwnicy, ubrani w czarne, jednakowe trykoty, wdziali skórzane rękawice.

Sędzia dał znak. Rozpoczęła się walka.

Dwa półnagie ciała rzuciły się na siebie, złączyły się w strasznym uścisku.

W sali panowała cisza, blada, śmiertelna cisza. Słychać było głuche uderzenia.

Cisza. A potem gong.

Przerwa.

Znowu gong.

Dwa ciała rzuciły się na siebie. Widać było każdy naprężony mięsień. Ale twarze były bez wyrazu. Czerwona, spuchnięta, twarz. Tępy, bezmyślny wyraz oczu.



To bohater dzisiejszego dnia.

Jeden z walczących ślania się pada, ale znów się podnosi i walka trwa nadal. Ludzie krzyczą. Rozgrzane, zapalone twarze z chorobliwym ogniem w oczach. Ręce zaciskają się nerwowo.

Emocja!!!

Jeden z walczących zwala się, drugi nadzwyczajną siłą woli utrzymuje się na nogach.

Raz... dwa...

Emocja!!!

Dziesięć!

Właściciel tępej, bezmyślnej twarzy jest zwycięzcą. Chce się kłaniać, ale pada bez przytomności na ziemię.

Tłum szaleje. Jak w cyrku za czasów Nerona. Ten sam pusty, bezmyślny, żądny emocji tłum.

Po chwili z ringu wynoszą dwa ciała... Zwy-

cięzca i zwyciężony. Na deskach świeci kilka kropel czerwonej, ludzkiej krwi.

Właściwe komentarze są zupełnie zbyteczne. Powyższy obraz mówi sam za siebie. Chcę tylko dodać parę własnych uwag. Sport ma być podobno najważniejszym czynnikiem wychowawczym. „Przez sport do zdrowia“ — głoszą afisze i ulotki. Ale i boks jest sportem. I on ma prowadzić do fizycznego i moralnego zdrowia. Młodzież licznie uczęszcza na mecze. Ogląda walkę, często wychodzi z meczu z niesmakiem, ale nie wyciąga żadnych wniosków.

A wniosek jest taki: „W XX wieku trzeba skończyć z barbarzyństwem. W zdrowym społeczeństwie musi być tylko moralnie zdrowy sport! Precz z boksem!“

Ir. VI. kl. GPHS.

## O filozofji, matematyce i iskierce nadziei.

(UWAGI DO DYSKUSJI).

Najnowszy numer „Świata Szkolnego“, zamiast ożywecej lektury, dał czytelnikowi serję pesymistycznych wynurzeń kilku przyszłych maturzystów i maturzystek. Lęk przed zbliżającą się wielkimi krokami „próbą życia“ obudził w młodych umysłach (niektórych) jakąś nadszpodziwaną skłonność do filozoficznych rozważań. Na łamach „Świata Szkolnego“ stworzył zwątpienie, szkodliwe w młodym wieku machnięcie ręką, prowadzące w konkluzji do zadowolenia się sakramentalnem, a jakże aspołecznem „jakoś tam będzie“.

Ton numerowi nadaje pióro autora „Historji jednej nocy“, którego młody wiek nie powstrzymuje od chęci wcielenia w życie epikurejskiego hasła (notabene czy nie spaczonego): „Carpe diem...“

Ktoś nieświadom rzeczy, pomyśleć mógłby, że „Świat Szkolny“ — to nie pismo młodzieży, lecz zgorzkniałych starców, lub takich ludzi, którym już nic nie pozostaje do stracenia.

Poglądy wyżej wspomnianego autora podziela widocznie szereg koleżanek i kolegów (zwłaszcza koleżanek), skoro dochodzą nas głosy o „Naszej przyszłości“, której autorki postanowiły za wszelką cenę rozwiązać „równanie życia“. Przyznać trzeba, że do pracy wzięły się z wielką gorliwością, acz niedość, naszym zdaniem, szczęśliwie, rozpoczynając cykl refleksyj, sprowadzających się w sumie do niczego innego, jak tylko do absurdu... bo prosimy posłuchać:

Wspomniane koleżanki chciałyby niby „coś zrobić, czemś się stać, jakoś uczyć się naprawdę (??), nieszczęściem tylko nie wiedzą, w jaki sposób dokonać tego. Pracy, broń Boże, nie boją się wcale, gdyż chciałyby jaknajwięcej

„zdziałać dla siebie, dla bliźnich, dla państwa“, przeraża je jednak myśl, że znajomy ich, otrzy-mawszy celującą maturę, zmuszony jest pracować u fryzjera (nie należy się tem przejmować — Reymont przez pewien czas był krawcem). Równanie nie zostało doprowadzone do najprostszej postaci. Trudno więc w takich warunkach mówić o znalezieniu rozwiązania.

Radzimy tedy, aby autorki „Naszej przyszłości“ „ostrożniej zabierały się do tak zawi-  
kłych „równań matematyczno-życiowych“.

Jeżeli nawet znajdzie się pierwiastki równania, to i tak niewiadmo, który z nich odpowiada zagadnieniu. I pocóż to, wszak w najlepszym wypadku dostanie się trójkę z minusem.

Wątpliwą jest rzeczą, aby tak młode umysły potrafiły znaleźć prawdziwą drogę w dy-lemacie. Zbyteczny trud! Nie stoimy wprawdzie na stanowisku poddania się biernego biegowi wypadków, ale też nie możemy zgodzić się na destrukcyjną, pesymistyczną diagnozę społeczną kolegów-filozofów.

Przyszli abiturjenci powinni i na to zwrócić uwagę, że „Świat Szkolny“ w mniejszości tylko czytany jest przez uczniów klasy VIII-ej. Młodszym zaś kolegom podobna „analiza prawdy życiowej“ odebrać może drogocenny zapal i poczucie wiary we własne siły, starszym — iskierkę nadziei.

Kończąc nasze uwagi ufamy, że ogół kolegów nie weźmie sobie zbyt mocno do serca nauki moralnej autora wiersza „Przebaczył...“, jak również wyniku rozmyślań autorek „Naszej przyszłości“. Ufamy...

aja. Kl. VIII Gimn. Społ.

# „KACZY LOT“

CZYLI FELJETON PONURY.

Nim zacząłem pisać ten feljeton, a raczej historję jednego uczucia, byłem w „kaczym kłopotcie“, jakim go ochrzcić imieniem. Mogłbym go nazwać np. „Radjon“, co sam pierze. Właśnie o praniu, takim generalnem praniu zamierzałem pisać. (Tylko zamierzałem). Lecz żaden tytuł nie wyrażał i nie przypominał mi pierwszego wrażenia, jakiego doznałem po przeczytaniu „Świata Szkolnego“... A zaczęło się to tak. Biorąc do ręki numer „Świata Szk.“, rzuciłem przypadkiem okiem na tytułową kartę. O Boże, co to!!!... Kacze, albo gęsie pióro! I nagle skóra mi ścierpła i dostałem „gęsiej skórki“, co jest uczuciem niezbyt miłym. Jednakże nie miałem czasu ani analizować owego „gęsiego wrażenia“, ani zastanawiać się, czy ta czarna plama oznacza prymitywność, czy młode pióra obojga płci. Właśnie byłem zajęty szukaniem przedewszystkiem swojej „noweli“. Jest!!!... spojrzałem wzrokiem wzruszonym. Jest!!! Kamień spadł mi z serca i, jak na złość, prosto na odciski. Doznałem po raz drugi niemiłego uczucia, jakim jest ból odcisków. Jednakże i tym razem przeszedłem nad tem do porządku dziennego i zagłębiłem się w czytaniu. Od czasu do czasu przebiegał mnie ostrzegawczy dreszczyk, chyba „gęsi“, ale pospiesznie go się pozbywałem prędkim czytaniem. „Jednakże przy słowach: „Zostań, — zawołała za nim, upadając na ławkę“... skóra mi ścierpła, a włosy stanęły jeża.

Co za banalna scena! Gdzież jest to wrażenie, które miała wywołać?!

Zaiste, nie orli był to wzlot, ale gęsi, alibo kaczy.

Jednakże z ulgą przekonałem się, że nikt ze znajomych tych wad straszliwych nie dostrzegł. Więc z lżejszem sumieniem (o ile sumienie może być lżejsze) wróciłem do domu, aby się wziąć do pracy uciążliwej, aczkolwiek niepozbawionej przyjemności. Mianowicie zacząłem czytać pokolei ciotkom, wujkom, dziadkom mój artykuł. Ho! Ho! to nie byle co! W gazecie stoi (tu udułem znów ból odcisków i cierpienie skóry). Zresztą niech wiedzą, kogo w rodzinie mają... Ciotki były wzruszone... No, tylko ta scena w parku, to nie bardzo... za młody jestem, by takie rzeczy pisać. Generacja męska chrząkała z uznaniem, tylko, że te pomysły nowoczesne, za ich czasów tego nie było... Pomimo wszystko byłem bohaterem i żeby nie te „odciski“ i „gęsie uczucie“ byłbym zupełnie szczęśliwy.

„Pismo młodzieży szkolnej. Ho, ho! To musi być pismo tryskające humorem i dowcipem, pełne wielkich ideałów i pomysłów.“

W ten sposób myślałem, otwierając po raz

drugi numer „Świata Szkolnego“. Odrazu na drugiej stronie rzucił mi się w oczy artykuł pod tytułem: „Młodzież ma głos“ (o nas, często, aż uszy puchną). Ponieważ lubię czytać o młodzieży, więc od tego artykułu zacząłem lekturę „Świata“... Jednakże odrazu zostałem obalany zimną wodą (nie tak wodą, jak wodnistym artykułem) przez kolegę, mającego zacięcie na Skargę, który takimi słowami smaga nas niemiłosiernie: „Rzuciliśmy się w wir życia politycznego i społecznego. Na glebie użyźnionej ulewą idei i hasel zaczęły się pojawiać, jak grzyby po deszczu, nieznanne dotąd koła, redakcje nowopowstałych pism, zespoły dramatyczne, gminy klasowe. Nie było takiej dziedziny życia, w którą nie staraliśmy się wnikać“. (straszliwy zarzut). „Z jednej krańcowości popadliśmy w drugą. Dawniej bezczynni staliśmy się teraz zbyt czynni“.

Po wytknięciu podobnych okropności pisze: „Błędzimy!“ Tu wyobraziłem sobie, jak kolega rozdziera szaty (może przed lustrem) i woła głosem gromkim, silniejszym od pioruna: „Błędzimy!!“ (dobrze, że chociaż „my“, a nie „wy“). Błędzimy, ponieważ chcemy sobie urozmaić nudne życie szkolne, ponieważ coś więcej, oprócz szkoły, nas interesuje, ponieważ chcemy przygotować się do przyszłej pracy na niwie społecznej... Na samym końcu zauważyłem słowa, które zaparły mi dech w piersiach i wywołały naraz kilka „gęsich uczuć“: „Frontem do biednego repetanta“.

Nie pozwałam!! krzyknąłem tak głośno, że „belfer“ (bo to było na lekcji) skierował na mnie wzrok niemile zdziwiony. Grubo musiałem się tłumaczyć, że zdrzemnąłem się i miałem brzydki sen. „Belfrowi“ to nie wystarczyło (im rzadko co wystarcza), ale wam, czyż mam tłumaczyć mój okrzyk protestu? czyż nie pozwolicie nam, repetantom, spokojnie spać na lekcjach przez swoje fronty i afronty...?

Po takim pytaniu retorycznym spojrzałem jeszcze raz na te niefortunne słowa i omal nie wyrwał mi się po raz drugi okrzyk świętego oburzenia. Dlaczego biedny? Ja, chociaż jestem tak zwanym repetantem, to bynajmniej nie uważam się za biednego (może sposoby zostawiania są często biedne, a raczej... tu trzeba użyć słowa mocniejszego). Właściwie, to jest przeciwnie. Repetanci mają tę właściwość, że chociaż chodzą, pływają, fruwają, to zawsze nazywa się, że siedzą. Ciekawa własność fizyczna, którą nie trzeba pogardzać. A teraz tak na marginesie: „Czy wszyscy się zgadzamy?“ nad tytułem, a na końcu „Będzie kilku, którzy mnie pochwalą (ci mądrzy), ogół (głupi) jednak potępi. Trudno. Wszak odważyłem się krytykować!“... Ach, kolego, podziwiałbym waszą od-

wagę i wasze bohaterstwo, gdyby nie ta „furta od tyłu“.

Pod tak znamienitym tytułem nie znalazłem tego, czego szukałem. Może jednak jest. „Szukajcie, a znajdziecie“. Więc zacząłem czytać artykuł po artykule od deski do deski. Zaiste, trumnie to były deski. Tu głodny chłopak jęczy „daj mi kawałek chleba“. Tu zrozpaczona koleżanka pisze „jesteśmy zbędne“. Tam kolega Teclaff przesadnie, mocno przesadnie, czarną nocą otulił, a raczej przydusił „świat“. „Dosyć płaczu!“ woła kol. M. F. Naprawdę dosyć. Nie płaczem i skamlaniem, lecz humorem i wiarą weźmiemy sobie to, co nam jest potrzebne. Skąd takie ponure nastroje? Kryzys! dla młodych kryzys? Niema go. A jeżeli jest, to chwycić za opasłą mordę i lać humorem, smagać szyderstwem, klucć satyrą, a napewno kopyta wyciągnie...

Och, nieco uniosłem się, ale czułem już nie gęsią skórę, lecz jakby mnie ktoś obdzierał ze skóry (podobne miałem uczucie, gdy czytałem afisze, kończące się słowami: „wykonane przez uczennice G. P. S. Zarząd Tow. Przyjaciół Zwierząt“.) O kaczy pazur wpadłbym w czarną melancholję. Już miałem zamiar zrobić tragiczny gest i zawołać głosem zrozpaczonym a la kolega Teclaff: „Pustka na świecie, pustka w duszy. Rozewrać nieco myśl... Już miałem zatoczyć błędnym wzrokiem dokoła, dla stwierdzenia tych bezsensownych słów, gdy ujrzałem „Anielską prawdę“... Tak, kolego Kuźnicki, dziękuję wam, bo gdyby nie wasza wysepka humoru wśród tego morza pesymizmu, wpadłbym w czarną melancholję i jeszcze czarniejszą histerję. Nawet nie wiecie, jaką mam dla was z tego powodu sympatję. Chociaż co do waszej „anielskiej piękności“ miałbym pewne zastrzeżenia, to jednak dwie prawdy: o kobiecie i o rzekomych referatach — niweczą wszelkie złośliwe uwagi.

Po napisaniu tych słów, odetchnąłem z ulgą. Jestem uratowany! Czuję się, jak niedoszły wisielec po odcięciu od gałęzi. Jednak, ponieważ mam pewną dozę humoru i bujną wyobraźnię (och, nawet bardzo bujną), wyobraziłem sobie tę scenę, któraby się rozegrała, gdyby nie artykuł mojego wybawcy (niech Allah go ochrania). I zamiast tragedji ujrzałem scenę ponuro-komiczną, przypominającą pewną bajeczkę dla małych dzieci o „Orle i kacze“. — Ponięważ sam nie chcę się rozkoszować aktualnością tej bajeczki, opowiem ją poniżej, bez żadnych komentarzy...

„Wlazała kaczka na koryto pełne żarcia i zaślepiona w swej pysze zaczęła lżyć orła, który szybował na horyzoncie. Jednakże, mając wzrok przytępiony dobrobytem, zawołała z zawiścią: „Orle, niema tam ciebie. Tyś umarł! Ja tylko jestem, ja, kaczka, wśród tego mrowia półgłów-

ków. Wszystko to nicość, wszystko pustka. Wszystko wokół — to ja“...

Roznamiętniona kaczka zlązła z koryta, na którym było jej do „dzioba“ i zaczęła wspinać się ku górze, lżąc bezustannie orła. A orzeł spojrział na nią z litością i pogardą, bo cóż jemu, niedosiężnemu, mogły zaszkodzić „kacze wrzaski“.

Tymczasem kaczka, wlaższy na dach, dalej krzyczała: „O orle, pamiętasz, byliśmy kiedyś, ty i ja, równi nicością bezsily... Ale ja, kaczka, przewyższyc chcę ciebie.“ I zerwała się kaczka do lotu, by dorównać orłowi. Lecz ociążała ciało ciągnęło ku ziemi, a skrzydła omdlały z wysiłku. Więc zatrzepotała niemi jeszcze raz i upadła na ziemię, zabijając się na miejscu. — I przyszli jej towarzysze i towarzyszki, stado „półgłówków“, i pokiwali głowami i rzekli: „Głupia była kaczka“.

10-lecie „Świata Szkolnego“. Och, jeżeli ten jubileuszowy numer będzie taki pesymistyczny i pełen zwątpienia, to czuję, że zupełnie straci nabywców. Nic dziwnego. Sam redaktor zresztą bardzo zręcznie z artykułu wstępnego wykreślił się „sianem“. Bo poco tyle gadania, aby na koniec stwierdzić, że pismo jest potrzebne? Lecz jakie, na jakich podstawach i o jakich celach, to kolega redaktor nie raczył powiedzieć pisząc, że nie chciałby używać wytartych frazesów. O, nie, kolego. Nam nie chodzi o piękne słowa, lecz o rzeczy realne, które przy naszej współpracy redakcja nam da, z których my będziemy korzystać. My chcemy wiedzieć — w jakim kierunku (o ile go ma) redakcja zamierza pracować i w jaki sposób chce podnieść poziom „Świata Szkolnego“. A poziom ten nie jest dostosowany do dzisiejszych potrzeb ucznia. Jak 10 lat temu „Świat Szkolny“ został założony, tak do dzisiejszego dnia nietylko, że nie podniósł swego poziomu, lecz nawet w swoim rozwoju się cofnął. Więc, kol. Redaktorze, czy kolega tę odległość między życiem młodzieży a „Światem“ wypełni tem, że nas stać na 35 gr. i na zakupienie 800 numerów?

O, nas stać i będzie stać na wiele więcej, jeżeli będziemy widzieć „Świat“ pełen życia i pełen nas. Patrząc tak z perspektywy 10 lat, można zauważyć, że „Światowi“ brakuje realnych podstaw i że w tej formie kona powoli, kończy swój „kaczy lot“.

Niech skończy swój, gdzieniegdzie piękny nawet żywot, i niech się zrodzi nowy, nie z „pustki“ i „nicości“, lecz z naszego życia; z naszych potrzeb. Błędne jest to mniemanie, że „Świat Szkolny“ musi być tylko gazetą, właśnie przeciwnie, powinien być organizacją, skupiającą całe nasze życie kulturalne i społeczne. Powinien pobudzać nasze życie do żywszego tempa przez urządzenie konkursów, zawodów sportowych, zabaw, wieczorków, turniejów szachowych i t. d..., a głównym organem i jednym

z środków do celu powinno być pismo i wtedy będzie ono miało realne podstawy bytowania i rozwijania się. Naturalnie, że... Stop!! Już dosyć. Ktoś gotów pomyśleć, że siadłem na „ministerjalną kaczkę“ i walę mowę programową... Och, broń Boże! Nie mam zamiaru robienia komuś przykrości. Ale czytałem w jakiejś książce, że feljeton, to nowoczesny bigos: dużo kapusty (tania), mało mięsa. Tak... pod tym względem mógłbym wziąć pierwsze miejsce. Lecz dlaczego jestem taki skąpy? Przecież tyle jest tłustych kawałków. Jednak, aby cierpliwy czytelnik wytrwał do końca (w co wątpię) wrzucę teraz jedno „kacze udko“ i kilka kostek do obgryzienia.

Znane jest stare przysłowie:

„Choćby cię smażono w smole,

Nie mów, co się dzieje w szkole.“

A jeszcze starsza zasada, że własne brudy trzeba w domu prać, a nie wywlekać na publiczny rynek. Bardzo mądre zasady. Jednak szkoda, że tym starym i mądrym zwyczajom nie hołdują niektóre koła i organizacje i wyciągają sprawy czysto szkolne na widok publiczny, wołając „Protestujemy!! To oni pisali, my jesteśmy czysti“. A ci, przeciw którym to jest skierowane, z dumy „obrastają w pierze“, że taki ruch swoją osobą zrobili.

Koledzy, protestujemy, to nie jest właściwe załatwienie sprawy na właściwej płaszczyźnie.

A teraz, aby uczynić zadość wymaganiom kulinarnym kolegów, podam kilka rad posłyszanych w kularach (nie sejmowych).

Radzę poetom, a w szczególności poetkom, nie używać słowa „złać się“ w trzecim przypadku liczby mnogiej („złały się“), gdyż to psuje nastrój i wrażenie... Wszystkim szaradziście

radzę nie mylić się w szaradach. Bo jeżeli to ma służyć do utrudnienia rozwiązania, to zaiste lichy sposób...

Koledze „Widzowi“ od sportu radzę nie brzdąkać ciągle na jednej strunie i w bujnej fantazji rozegranych meczów do szerszej wiadomości nie podawać... A wszystkim razem młodym literatom i literatkom i publicystom i czytającym i nieczytającym kolegom i mnie także radzę pisać, myśleć, mówić z humorem, żyć z humorem i bawić się z humorem, bo świat jest taki piękny dla oczu, umiejących patrzeć. I jeśli ktoś sądzi przeciwnie i uważa życie za czarny koszmar, to niech weźmie stryczek i zawiśnie, gdzie w odludnym miejscu, by swoim jadem i pesymizmem nie zarażał drugich, by nie okradał ich z najpiękniejszego instynktu, jakim jest rozumienie piękna...

I wrzuciłem ostatni ponury „kaczy szczątek“ i spadła mi ostatnia ponura łza na koniec tego ponurego feljetonu, bym mógł go skończyć, jak wszyscy kończą pięknym hasłem, które może tem się różni od innych, że jest wykonalne. A więc: w nowym „Świecie“ frontem do humoru i uśmiechniętej gęby...

Z. Zeidler. GPRT.

Od Redakcji. Wobec tego, że kol. Zeidler i „aja“ omówili w swych artykułach całość numeru poprzedniego, nie umieszczamy już nadesłanych nam krytyk „omawiających poszczególne prace. Poczujemy się do obowiązku podziękowania kol. Tarce GPHS. za uwagi na temat poprawności językowych artykułów. W poprzednim numerze przeoczono rzeczywistość parę błędów (niektóre z nich to jednak zwykłe omyłki w druku) — czego postaramy się już na przyszłość unikać.

## W „sprawie aktualnej“.

Nawiązując do artykułu kol. Rybickiego p. t. „Sprawa aktualna“, zamieszczonego w poprzednim numerze „Świata Szkolnego“, chcę zwrócić uwagę na to, że rozumowanie, zawarte w tym artykule, jest błędne, a przynajmniej sprzeczne.

Kol. R. pisze, że Polska jako kraj, który kiedyś sam był pod zaborem obcych państw, powinnyby stać po stronie Abisynji, broniącej swej niepodległości.

Ale wniosek, który z tego wysnuwa, z twierdzeniem powyższem nie zgadza się w zupełności. Według kol. R., patrząc ze stanowiska Włoch, Mussolini ma rację, podbijając Abisynję. W ten sposób możnaby również twierdzić, że i Katarzyna, inicjując podbój i rozbiór Polski, miała rację z punktu widzenia interesów Rosji.

W dalszym ciągu pisze kol. R., że Włochów usprawiedliwia fakt przeludnienia, braku surowców, a także to, że Abisynja stoi na b. ni-

skim stopniu cywilizacji i z tego powodu nie może być traktowana narówni z krajami europejskimi.

Rozumując w ten sposób, musielibyśmy usprawiedliwić również napaść bandyty, który chce się wzbogacić kosztem swej ofiary. Nawet gdyby ofiara ta stała na najniższym szczeblu cywilizacji i kultury, nie znajdzie się ani jeden uczciwy człowiek, któryby zechciał usprawiedliwić napastnika.

Wogóle artykuł ten jest wyrazem podwójnej etyki — etyki Kolego z „W pustyni i w puszczy“ Sienkiewicza: „Jak ktoś Kolemu ukrasć krowy, to jest zły uczynek, a jak Koli komuś ukrasć krowy, to dobry.“

Ojczyzna nasza, która przeszło półtora wieku była w niewoli, z uczuciem braterskiej miłości i wielkiego zrozumienia — nie zwróciłyby się powinna, ale p o w i n n a s t a nąć po stronie broniącej swej niepodległości Abisynji.

B. Kopecky. VI-a GPHS.

*Z okazji zbliżających się Świąt Wielkanocnych Redakcja składa wszystkim koleżankom i kolegom życzenia Wesółch Świąt.*

## W odpowiedzi na artykuł kol. Rybickiego.

Zaciekawilo mnie bardzo stanowisko, jakie zajął kol. Rybicki wobec kwestji abisyńskiej. Gdyby artykuł p. t. „Sprawa aktualna“ był dziełem jakiegoś wytrawnego polityka, czy dyplomaty, mogłabym łatwiej zrozumieć takie powiedzenie: „Niech więc Polska w postępowaniu swem względem Włoch nie zważa na hasła humanitarności i sprawiedliwości innych państw, a kieruje się wyłącznie własnym interesem oraz tem, co jej dyktuje egoizm narodowy“. Albo drugie: „Nie zabraniajmy Włochom tego, co jeśli nie teraz, to zapewne jeszcze za życia obecnie dorastającego pokolenia czynić będziemy; rozwijać się zdobywać i jak najdalej rozszerzać światło kultury i cywilizacji polskiej“. A więc według kol. Rybickiego państwo, o ile wymagają tego jego interesy osobiste, nie powinno, a raczej nie może zwracać uwagi na żadne hasła idealistyczne, lecz iść wyłącznie za tem, co mu dyktuje egoizm? Gdzież więc etyka, o której tyle obecnie mówi się i słyszy? Etycznego postępowania wymagamy nawet w rzeczach drobnych, tem bardziej w sprawach tej miary, co wojna włosko-abisyńska. Nie potrafię wyobrazić sobie takiego momentu, w którym wszystkie państwa świata odrzuciłyby na bok humanitarność i sprawiedliwość, a poszły wyłącznie za tem, „co im dyktuje“, jak mówi kol. Rybicki, ich egoizm narodowy. Byłaby to zapewne druga wojna światowa, o ile nie coś gorszego. Gdybyśmy zajęli takie stanowisko, jakie nam radzi kol. Rybicki, — pocóż nam Liga Narodów? Pocóż stosować jakieś tam sankcje i t. p.? Każdy naród silniejszy i kulturalnie wyżej stojący napada na drugi, w imię naby to szerzenia kultury, a w gruncie rzeczy w imię swoich dążeń imperjalistycznych, bo tak przecież nakazuje egoizm narodowy. Sprawiedliwość?... Bo przecież krzyżującą niesprawiedliwość byłby taki napad... tę odrzucamy.

Przypuśćmy już, że taki najazd spowodowany był pragnieniem szerzenia kultury... I w tym wypadku niema wytłumaczenia. Wątpliwe byłby wyniki szerzenia kultury „ogniem i mieczem“. Co do Włoch, to przecież nie jesteśmy tak naiwni, by twierdzić, że spowodowali woj-

nę w celach kulturalnych. Coprawda, mówiło się coś o tem na początku wojny, — teraz każdy wie, że było to tylko zamydlenie oczu.

Twierdzi kol. Rybicki, że my również w nie-dalekiej przyszłości czynić będziemy to, co obecnie Włochy. Zdaje mi się, że w charakterze Polaków nie leży chęć podboju. Imperjalistycznych dążeń w tej mierze, co Włosi, również nigdy nie ujawnialiśmy, dlatego też sądzę, że tego, co obecnie czynią Włosi, my czynić nie będziemy. Odbierzemy jedynie to, co nam zabrano, co nam się słusznie należy. Narazie jednak jesteśmy nastawieni na ton zupełnie pacyfistyczny i niema obawy, byśmy poszli w ślady Włochów.

Nie wiem też, dlaczego kol. Rybicki tak bardzo apoteozuje naród włoski. O ile mi wiadomo, to Włosi nie zdradzali nigdy wielkiej pracowitości. Przeciwnie, są leniwi, powolni, a przed wojną światową tworzyli kadry t. zw. pogardliwie „makaroniarzy“. Dopiero pod silnemi i twardemi rządami Mussoliniego doszli do tego znaczenia, jakie obecnie posiadają. Nie sądzę też, by stanowić mogli „znakomity materiał kolonizacyjny“. Pozbawieni twardej ręki swojego „duce“, wróciliby do przedwojennego stanu opieszałości i niewiele zdziałałoby potrafili na zagarniętych terenach, gdzie potrzeba maximum wysiłku i pracy.

Wreszcie o ile Włosi tak bardzo chcą szerzyć kulturę w Abisynji, to przecież nic im nie stało na przeszkodzie. Mogli się do tego zabrać już oddawna, ale nie przy pomocy rozlewu krwi. Jeżeli zajmujemy takie stanowisko, jak kol. Rybicki, jakie stworzymy państwo? Bez sprawiedliwości, bez żadnych wyższych ideałów — państwo, które zawsze i wszędzie kierować się będzie pobudkami czysto egoistycznymi. Jakież więc wtedy będzie współzycie narodów, czy wogóle będzie mogła być mowa o jakimkolwiek współzyciu? Państwa staną się areną wiecznych i krwawych walk. Słabsi utracą wolność, mniej kulturalni zostaną zgniecenii — nad niemi wzniesie się wszechwładna ręka bóstwa, któremu na imię „Egoizm narodowy“.

*Alicja Sanigórska. VIII. GPJS.*

*Zachód za oknem się ściela — cisza aż w uszach  
dzwoni.  
W milczeniu bezbrzeżnem dusza, jak w wodzie  
przejasnej tonie.  
Padają na papier słowa, z banalnych najbardziej  
znane,*

*O jakimś smutku wielkim, tęsknocie i miłowaniu.  
Szeleszczą kartki białe łagodnym, dobrym  
szelestem,  
A szczęście cicho szepce: tu jestem... tutaj  
jestem...  
L. S. VIII. GPJS.*

## DAJMON.

Szukam odległej mej Itaki,  
Do której płynę dniem i nocą,  
— A kraj przede mną wciąż jednaki. —  
Szukam odległej mej Itaki...  
Płynę — choć nie wiem, gdzie — i poco —  
I poprzez szarość płynę w ciszy —  
Szarość ogromną — jednostojną. —  
Krzyknę — lecz nikt mię nie usłyszy.  
Poprzez tę szarość płynę w ciszy,  
Gdzieś, poza jutrznię światłodajną.  
Wciąż mię przygniata szarość smutna,  
Morze się dziwnie wciąż rozrasta,  
Łopocą w żaglach zdarte płótna,  
Wciąż mię przygniata szarość smutna,  
I płynę — ? — Do jakiego miasta? —

Wszystko ma twarz człowieka biedną,  
Wszystko mię widzi — sądzi — słyszy —  
Śmieszne. — Jest mi już wszystko jedno,  
Wszystko ma twarz człowieka biedną,  
Płynę przez morze wielkiej ciszy. —  
Lecz kiedy myśli palą — płoną —  
Ktoś mi na oczy dłoń swą kładzie,  
Wstaje coś boskie, z gwiazd koroną,  
We mnie — gdy myśli palą — płoną,  
Dajmon? — Coś tli się w głębi — na dnie...  
Łopocą w żaglach płótna zdarte,  
Chwieje się statek byle jaki. —  
— Droga — i drzwi, tam — gdzie otwarte. —  
Łopocą w żaglach płótna zdarte,  
Szukam odległej mej Itaki.  
Wilhelm Rid. G. P. „Nazaret“.

## „Pani w granatowym fartuszk“.

Czekaliśmy. Weszła ona i dyrektor. Wsta-  
liśmy.

— Pani B., wasza nauczycielka języka pol-  
skiego. Spodziewam się, że...

— Wiemy... wiemy... Dobrze się zachowy-  
wać, uczyć, żeby nie było skarg... Napewno —  
panie dyrektorze. Oczywiście, że nic takiego nie  
będzie. Skądże...? Chyba... żeby... no, to się  
zobaczy...

Oczywiście mówili to w duchu wszyscy, al-  
bowiem dyrektorowi dali odpowiedź tę pochy-  
leniem głów o parę centymetrów niżej. Została  
sama. Usiedliśmy. Lista, to jest tak zwane „po-  
znanie“. Mówi nam „per pan“. Jak na począt-  
tek — to dobrze. (O naiwności szkolna, która  
pozwala być dumnym, kiedy ci nauczycielka  
powie „pan“. Nauczyciela takiego jeszcze nie  
było i... pewno nie będzie). Patrzył każdy. Trzy-  
dziestu czterech. Niska. Szczuplutka. Owszem,  
zdaje się nawet bardzo miła. Tak. Ma bardzo  
miły głos. Jest delikatna. Może zadelikatna. —  
A zresztą — może to tylko tak na początek.  
O! Jeżeli tak, to się pani nie uda. My się zna-  
my na tem. Ho, ho. Już my wiemy. No, ale  
czekajmy dalej.

— Pan ...ski.

— We własnej osobie.

Śmieje się, jak mała dziewczynka. Tamten  
gładzi wąsa. Oho! Jurek już wyciąga lusterko  
— poprawia krawat i włosy. Stefek patrzy zaś  
poważnie z za okularów. On wogóle zawsze jest  
poważny. Ma już pierścionek i podobno... na-  
ręczoną. Witek coś szepem mówi do Edka. —  
Skończyła listę. Ma binokle. Trochę śmiesznie  
w nich wygląda.

— Uważasz, ja myślę... Byłoby jej lepiej  
bez binokli...

— To, widzisz, trochę dla powagi, a tro-  
chę dla słabego wzroku — rozmawia dwóch.

Zeszła z katedry. Zdaje się jeszcze mniejsza.  
Ma taki fartuszek granatowy z kieszeniami.  
Włożyła ręce do nich. Binokle zdjęła.

— A nie mówiłem, że lepiej... Bo widzisz,  
ja się na takim czemś znam — mówi jeden z  
tamtych. Teraz patrzy chwilę. Ano, my też. Za-  
czyna mówić o tem, co mamy przerobić, co czy-  
tać. Pyta się nas, cośmy czytali. Chcą mówić  
wszyscy.

— Ależ panowie...

Cisza. Takie głupestwo, a jak to skutkuje.

— Może jeden z panów powie mi to... Pro-  
szę... może pan —

Pan wstaje. Przygotowuje się do dłuższej  
przemowy. To na początek. Trzeba zrobić do-  
bre wrażenie. Nie zbłaźnić się. „Pan“ mówi  
starannie, dobierając wyrazów. Chce nawet  
streszczać niektóre dzieła, żeby... Pani zresztą  
wie, że ja... tego... literaturę znam... A jakże...  
(mówią oczy „pana“). Skończył. Usłyszał grze-  
czne „dziękuję“ i dumny usiadł. Ona się śmie-  
je jednak. Pewno trochę z nas i z tego, który  
chciał przy sposobności streścić „Makbeta“ i  
„Dziady“ — część trzecią, a nawiązując do te-  
go opowiedzieć, w czym tkwi tragizm Makbe-  
ta... no, a jeżeli chodzi o „Dziady“ — to Kon-  
rad w swej improwizacji...

Dobrze, że tego nie skończył. Idjota. Myśli.  
że jej zaimponuje. Tu trzeba — owszem, trze-  
ba zrobić dobre wrażenie — ale nie w ten  
sposób.

Potem znów któryś odpowiada. Acha! O  
tem, w jaki sposób przerabialiśmy literaturę  
w tamtym roku. No, ten mówi przynajmniej  
mądrze. Krótko, treściwie, bez żadnego... „a je-  
żeli chodzi“... albo... „nawiązując zaś“...

Też usłyszał grzeczne „dziękuję“ i z niby  
obojętną miną usiadł. Ale teraz rozpina mun-  
dur, bo mu jakaś duma rozsadza pierś — bo to

przecież „pan“. Ona wciąż stoi przed katedrą. Słucha. Śmieje się, czy się nie śmieje? Usta nie. Ale oczy napewno. Jak Bożę kocham, że się śmieje oczami. Potem mówi. O tem, że będzie przystosowywać się do sposobu, w jaki uczyli się panowie w tamtym roku, że będzie chciała, żeby było zawsze dobrze.

No, rozumie się. Ale trzeba się uczyć. Masz. Długość się cieszył. Uważasz — bracie... (ten przydomek używany jest w szkole przez wszystkich, kiedy zagraża niebezpieczeństwo) — mówiłem ci. To tylko tak na oko. Bo to widzisz — cicha woda brzegi rwie. Kto wie? Grzeczność grzecznością, ale dwója — dwóją. A ona wciąż się uśmiecha. A myśmy też się śmiali z tego — „trzeba się uczyć“. Zaczęli chórem. „Ależ, proszę pani (każdy mówił za siebie) — my się wogóle uczymy. My jesteśmy pilni. Zresztą sama się pani przekona — tylko niech się pani nie pyta o to innych profesorów... Zbyteczne... Bo

to ludziom niezawsze można wierzyć. Najlepiej się samemu przekonać...“

— Dobrze. Przekonam się, czy panowie mówią prawdę...

— Wacek! Józek! Zaświadcźcie! (Jeden jest harcerzem, a drugi sodalisem). Wam uwierzyć...

Uderzył dzwonek. Jak to szybko zeszło. Chce wychodzić. Paru zaczęło o czemś z nią rozmawiać. Inni z ciekawości przysłuchiwali się. Taką małą Otoczyli ją w kółko. Każdy chciał o coś zapytać. Mówiła, śmiała się. My też. I wtedy może niejeden poczuł, że w tej małej osobce znalazł wesołego przyjaciela — takiego prawdziwego przyjaciela - nauczyciela. Kiedy wyszła z klasy po pierwszym dzwonku, rozeszli się, głośno dzieląc się wrażeniami. A Janek chciał jeszcze pobiec za nią do pokoju i powiedzieć jej w imieniu klasy całej, że „my panią bardzo polubiliśmy“. Ale nie dali mu. No, bo jakże. Nie wypada.

Wł. Żesławski. PGHS.

## Historja dnia jednego.

Cicha noc umknęła w zaświaty i budzić się począł dzień. Przetarł dłońmi zaspane oczy, przeciągnął się solidnie, przejąc kościste ramiona i uniósł się zwolna z pościeli. Potrząsnął kędzierzawą, konopiastą czupryną, jakby strzepywał resztki koszmarnego snu, snu o wojnach, katastrofach, biedzie ludzkiej, myślicielach i miłości. Ziewnął raz jeszcze szeroko, aż wia-ter przeszedł po świecie, i ruszył w swoją drogę. Uśmiechnął się do dumnego piejaka, rozdierającego swym donośnym krzykiem powieki śpiących (drogą okrężną przez uszy) i przez jakiś otwarty łufcik włożył głowę do pierwszego napotkanego mieszkania. Już tam radjo brzęczało muzyką po porannej gimnastyce. Wkrótce jednak melodyjny wyiew czułości jakiegoś tanga przerwany został komunikatem meteorologicznym.

— „Pim“ przepowiada na dzisiaj pogodę pochmurną, przechodzącą niekiedy w zimne opady deszczowe lub śnieżne.

Uśmiechnął się figlarnie dzień. Otóż zrobi na złość „Pimowi“ i będzie dzisiaj słoneczna pogoda.

Odechylił chmurzane story i czarodziejska latarnia słońca wylała swe złociste światło na ziemię.

Promienie teraz pomagały kogutowi, budząc wylegujących się jeszcze i ociągających ze wstawaniem.

Już wkrótce rzesze młodzieży z teczkami i torniastami „spieszyły“ do szkół, powtarzając po drodze opowiadania francuskie, niemieckie, słówka łacińskie, reguły matematyczne i fizyczne.

Znał te wszystkie sprawy dzień. Widział już wiele w swem długim życiu.

Uśmiechał się tylko, rzucając blaski na głowy uczenie (niestety! oleju nie miał!), uśmiechał się, złocąc serca uczniów.

Miły, kochany dzień. Tak długo żyjący, a tak wiecznie młody, bliski tym wszystkim, których tak lubił.

Przebiegał szybko wielkie obszary ziemskie, niosąc wszędzie radość i wesele.

Doszedł do miasta jakiegoś i wsunął się do jednego z gimnazjów.

On tak kochał szkołę, takim był przyjacielem młodzieży!

W jednej z klas, której uczniowie czerwone obszycia mieli na mundurach, ospały i gnuśny panował nastrój mimo, że profesorka wszelkimi siłami i sposobami (wrywanie piszących coś pod ławką lub patrzących beznamiętnie w okna) starała się go rozegnać. Cóż poradzi na to, że literatura w żaden sposób „wziąć“ nie może dorosłych, przynajmniej w ich samych mniemaniu, młodzieńców?

Niekiedy jeno burzę, a właściwie ruch wywoływały wystąpienia ekscentrycznego blondyna w rogowych okularach, który swemi niemniej ekscentrycznymi powiedzeniami w rodzaju: „sumienie jest kapotą, wkładaną od święta“, „honor zależy od długości i szerokości geograficznej...“ podniecał na krótko klasę.

Przemknął szybko do innego gmachu słoneczny dzień. Wrzawa i piski, na ulicy jeszcze słyszane, oznajmiły mu, że to szkoła żeńska.

Znajomy od wielu dni obraz.

Uczennice latały jak pszczoły w ulu (oczywiście nie z powodu — pracowitość ani wdzięk). Jedne pisały, drugie wysyłały listy, listy, listy.

— Szanowny pan redaktor X. Wielmożny pan redaktor X. — głośiły te koperty.

— W związku z humoreską A. W odpowiedzi na humoreskę A — krzyczały kartki papieru.

Dzień znał powód tego wszystkiego.

— Odezwały się nożyce. Uderzył ktoś w stół — pomyślał sobie wesoło i, rozglądając się, szukał czegoś. Niestety! W żadnym sercu nie zoczył ni odrobiny sympatii dla nieszczęsnego autora, który — jak wiedział — i tak nic sobie z onej nienawiści nie robił: co powiedział, powiedział — prawdę powiedział i już tego nie cofnie! Choćby pioruny słów, błyskawice spojrzeń waliły się na jego głowę!

Ujrzał dalej dzień w szkolnej gazetce recenzję, w której oplwany został ów wyżej wspomniany nieszczęśnik, i zawrócił znów do zwiedzonego już dzisiaj gimnazjum, aby nacieszyć swe oczy widokiem jego, najodważniejszego z odważnych. Wszak na takie języki się narażać, to nielada odwaga!

Zaszedł na lekcję matematyki.

Ten, którego pragnął zobaczyć, siedział, marząc o błękitnych czyichś oczach. Przed tablicą stał jakiś uczeń.

Zapytał go właśnie profesor, co będzie wykresem danego równania, a ten nie miał o tem pojęcia zielonego, jak świeża wiosenna trawka, lub... — tu masnęło mi się porównanie z głowami ślicznych panienek, czego jednak nie umieszczę, bo by się obrazić mogły...

Pytany spojrział rozpaczliwie raz i drugi na plenum klasowe. Tam zaś już jeden z usłużnych kolegów pokazywał mu palcem wielką elipsę. Dorozumiał się, widać, wreszcie, bo — „jajko!“ — wykrzyknął radośnie.

Zatrzęsły się od szalonego śmiechu brzuchy.

Odetchnąc zechciał dzień świeżem powietrzem, więc udał się do parku, w którym zieleniły się już zlekka drzewa, ukrywające między swemi gałęziami roje śpiewających ptaszek.

— Ho! To wy! — mruknął, widząc znajomych „wagarowiczów“, opalających się na słoneczku lub przechadzających się po alejkach. Zaczął im płać niewinne figle. To skierował kroki jakiegoś „belfra“ obok zajętej przez młodzież szkolną ławki. Lecz umiejętnie odwrócił jego głowę tak, że przejście wywoływało jedynie drżenie łydek u wypoczywających po wczorajszych, lub przedwczorajszych trudach szkolnych.

To znów na oczy spacerującego młodzika rzucił cień, iż zdawało mu się, jakoby dyrektor przechodził i jeno przyjrzał się groźnie jego fizjonomji...

Figlarz był.

Już wkrótce większy ruch powracających, zmęczonych, a wesołych z powodu końca lekcyj oznajmił mu, że jakaś pierwsza, może druga musi być godzina.

Nie miał co robić dzień.

Pohasał więc po ulicach miasta, pobiegł na pola, rozśpiewane świergotem skowronków, na

łąki, w lasy. Gorąco mu było, więc zakrył na czas jakiś białemi chmurami słońce i zamachał ręką, chłodząc spocone czoło. Miły wietrzyk przeszedł po ziemi, niosąc wszędzie orzeźwienie.

Myśli dnia zaczęły się toczyć wolno, powieki zaciążyły.

— Ale! Nie wolno spać! Noc jest od tego! Bo to zresztą tak już się napracowałeś?! — skrzyczał się, nie chcąc poddać się senności. — Zobacz jeno, co robią ci, którzy naprawdę pracowali! Pięć lub sześć godzin, to nie przelewki!

Poderwał się szybko na równe nogi i wrócił do miejsc zamieszkałych. Zajrzał do jednego domostwa. Tam właśnie ktoś chrapał, wciągając gwałtownie powietrze.

— Eeee! — odwrócił się z pogardą i podążył dalej.

W drugim miejscu zobaczył to samo, gdzie indziej również.

— Czyż niema nikogo, ktoby cośkolwiek robił? — zadawał sobie pytanie.

Znalazł nareszcie.

Niedaleko toru kolejowego siedział w mieszkaniu dorodny młodzieniec, szyjący coś zawzięcie.

Przyjrzał się uważniej.

Oto ów z wielkiej ilości starych skarpetek i pończoch skręcał grube wątki i wszywał je w płaszcz tam, gdzie zaczynały się rękawy. Rogowe okulary zsunęły się z nasady nosa i (a jednak niekiedy wystające mongolskie kości policzkowe przydadzą się!) zatrzymały się na zakrąglonym jego czubku.

Nie zważał na to pracujący.

Nie zważał na to, iż piękna jego fryzura psuła się, bowiem z powodu pochylenia głowy włosy jeżyły się coraz, i coraz bardziej.

Zato będzie potężnym mężczyzną! Będzie miał bary!

Zaczęła się godzina powodzeń dnia.

W następnem miejscu ujrzał młodego wychudłego człowieka, cieszącego się również na jeża, obkuwającego obecnie historję. Przez okno wabiły go parki cieniem drzew, obecnością panien, swobodą...

Precz! Precz! Apage satanas! Odejdź myśli o kobietach, o cisnących się na usta szlagierach, o zielonej trawce! Zresztą i tak mama drzewi na klucz zamknęła i tak serce moje dość daleko, a zato matura się zbliża... I zabierał się od początku do Konstytucji, do Sejmu, podatków i szkolnictwa...

Odszedł dzień, nie chciał się patrzeć na męczarnie biedaka. Przekroczył park jeden i drugi, a niedaleko zoczył znów uczących się historji.

Nazwiska Solonów, Kserksesów, Karolów i innych pojawiały się raz na ślicznych usteczkach panienki, raz na wargach młodziana.

Ecce wzór godny naśladowania! Patrzcie i budujcie się! Oni nie myślą o miłości — wiedzą łakną!



Popatrzył się na mich, uśmiechnął się radośnie i poszedł dalej.

Na jednej z bocznych ulic napotkał dwóch młodzieńców. Kroczyli poważnie, obaj przystojni, obaj pociągający za sobą oczy niewiast.

Znał ich doskonale.

Pierwszy z nich — to ważna gimnazjalna persona, drugi — prawa jego ręka (w ostatnim wyrażeniu kryje się oczywiście przenośnia, bo zasadniczo z tej rączki możnaby wykroić pięciu osobników wielkości pierwszego pana).

Weszli do mieszkania.

Mały z wielką głową redaktor zasiadł do przeglądania nadesłanych prac, do czynienia korekty i do wielu innych, z tytułem związanym, zajęć.

Niekiedy jeno rzucał jakieś pytanie, skierowane do przyjaciela, a ów z nad książki, nad którą notabene po 30 godzin na dobę ślęczał, podnosił wyblakłe oczy i odpowiadał rozumnie a krótko.

Podążył dzień w stronę śródmieścia.

Z trzeciego piętra jakiegoś domu dolatywa-

ły oszalałe tony nowotworu fortepianowego. Wdrapał się na górę i ujrzał młodego kompozytora, wybijającego artystycznymi palcami foxtrotta jakiegoś melodję. Przy każdym nerwowym ruchu głowy nos, ach! co za nos! uderzał w klawisze, do których miał bardzo bliski, chociaż na wysokiem dość krześle siedział twórca.

Plecy przeżyły się w takt muzyki, piszczele rąk błądziły po czarnych i białych polach, a w ciasnej... tego — chciałem powiedzieć — wąskiej głowie przelatywały myśli o jego ukochanej.

— Maleńka moja... — szeptały wargi.

— He! He! He! — zaśmiał się dzień.

Maleńka! Toż ona przerasta cię o pół głowy! Toż przecież chudeusz jesteś marny, a ona...!

He! He!

Wyszedł, ścigany rozlataniem dźwiękami improwizacji muzycznej. Wyszedł, a widząc, że wczesna zbliża się już noc, udał się na spacerunek.

M. Kuźnicki. GPHS.

## SZEPT FAL.

*Kiedy wieczorem nad morza staniesz brzegiem,  
witać cię będą fale. Pian uderzą płachtą,  
karki uniosą ściśniętym szeregiem,  
o brzeg taranem będą głucho biły,  
by znów przepaścią na dwoje rozdarta,  
zebrawszy naraz wszystkie swoje siły  
objąć cię z szumem zdradnemi ramiony.  
A może... może cisza będzie,  
— fala cichemi zagra pieśni tony,  
może cię będzie w głębi swoje kusić,  
by cię utulić ramionami sennie,  
pod stopy sobie rzucić...  
— A może... wieści będzie niosta z dali,  
do nóg się tulić będzie rozgadana...  
głos jakiś przyniesie na szemrzącej fali...  
... — O, słyszysz!... ktoś o pomoc wota,  
fala się toczy cicho rozetkana  
i dzwony biją z puckiego kościoła...*

*Słyszysz... to głos Oksywji cmentarza,  
umarłych skargi niesie słowa  
i echem głuchem ich jęki powtarza.  
Słyszysz... podwodne dzwony znouu biją,  
posepnie szemrze fali mowa,  
śmierć głosi... lecz czyją?  
Ktoś dziś nie wrócił na brzeg o zachodzie,  
kogoś litosne utuliło morze...  
szept pożegnania czyjś płynie po wodzie...  
Modlą się dzwony pieśnią rozetkaną,  
by miękkie na dnie było jego łozę,  
by słodko zasnął na przyszłość niecznaną...*

*Księżyc się kryje za chmur oponami,  
a morze szumi... płaszczy się i wzdyma,  
o brzeg uderza szaremi falami  
i znów opowieść zaczyna.*

A. H. „Nazaret“.

## Przed świtem.

Dawno wskazówka przeszła północ.

Przy słabem świetle naftowej lampki widać pochyloną głowę, wtuloną w wątle ramiona.

Przez izbę biegły z kątown, gdzie stały łóżka, chrapania śpiących, nieublagane tykanie budzika i monotonny szept:

„Sinus sto osiemdziesiąt minus alfa równa się sinus alfa... cosinus sto osiemdziesiąt minus alfa równa się minus cosinus alfa...“

...Tangens... ..cotangens... — i po tem znów sinus sto osiemdziesiąt plus alfa...“

Znużona głowa opada na ramiona i pochyla się coraz niżej, niżej...

Wstrząśnięcie głową — i znów ten sam monotony szept...

Usta już nie szepcą, zmęczone oczy biegają w mroki nocne... Za oknem chybotze żółtem światłem latarnia...

A myśl błąka się gdzieś, niewiadomo gdzie, w kraju niebieskich migdałów — a tu trygonometria leży odłogiem i czeka...

Jest cisza, jeno tykanie zegara biegnie w przestrzeń — tak, tak, tak, tak...

— Tyle pracy, tyle pracy... Powtarzam jak automat wzory — i poco? — płyną szepty...

Robot ze mnie — nic już nie myślę... Nie mam czasu myśleć...

A gdy czasem wyblęsnie z chaosu myśl jakaś jasna, co się ucieleśnić pragnie w kształty wzorzystych pieśni — nieubłagany czas kres jej wyznacza czarną wskazówką, że ulecieć niezdolna ku słońcu, że skrzydeł rozwinąć nie może...

A tu się w duszy ważą dwie tajemne siły... I cisza jest jak przed burzą, gdy się już wichry kołyszą, a piorun drży i czeka...

A jeżeli nie zniosę tylu brzemion, jeżeli padnę?... Jeżeli w zamęcie myśl nie powstanie?...

-----  
Oczy nicości są szare, niewidzące... Ramiona chłodne, ukojne...

Nicość — brrrr... czyż jest naprawdę?... Z mroków wypływają jakieś strzępy pieśni...

— ... o nie! pustki niema... tam, z szalami w dłoni, czeka nas Sędzia Prawy — nieprzekupny złotem...

-----  
Nie wolno zginąć teraz, nie!...

-----  
...czekają lata, nabrzmią, jak owoce jabłoni, dojrzałe lata...

...czekają puhary niespełnione, nietknięte usta niezycjami...

-----  
— A może czekają leżące odłogiem pola, pod turkusem niebios, pola, nad którymi nie ulata skowronkowa piosenka zachęty i pobudki....

— A może czekają pola, co wołają o orkę, o światło, o ziarna złoto-pszeniczne...

— A może są pola, co już czekają siejby z ręki miłującej, co już marzą o runi, co już szumieć pragną kłosów ciężkich, kłosów chlebných gęźbą radosną...

-----  
Więc? — czy wolno zginąć i własnymi rękoma zwalić ten gmach?...

Nie, nie, nie...

To nic, że za chwilę może burza rozpęta siły swoje, furje zielonookie rozpuści i przeleci po całym łanie swojackiej ziemi! —

To nic, że rzeczywistość wysmaga nasze grzbiety karpjami drwin, słów strasznych...

To nic...

Nie wolno, nie wolno!...

I jeżeli zabraknie sił, i jeżeli głową ku prochom ciężyc będzie, niech się przez mroki staczające przedrze iskrą błyskawiczną nakaz, jaki śle chwila przyszłości: „Nie wolno!“

Siły wróca...

...i wstaną nowe, niespożyte, twórcze...

...bo są i będą...

...energja jest niezniszczalna...

Wiem — walka idzie; w poszumach wicherów już ją słyszę, w odgłosach grzmotów idących z dalekich nieboskłonów...

-----  
Nowe horyzonty rozpalają duszę, nieboskłonny nieodkryte wołają oczyma przestrzeni, dalekie światy krzyczą pierścieniami mgławic — a tam, wśród nich Prawda!...

A tam, jeno jedyny szlak — niema kompromisów!...

-----  
Ale — jeżeli nie znajdę tej jednej drogi?...  
Ale...

-----  
Majaki zwątpienia spopiela słońkiem dni radości, dni wesela...

A potem wstaną i zaczerpną w płuca życia hausty pełne — i będę żył słońcem, lazurem, oddechem niw moich szarych, i chlebem z własnych niw...

I tak będzie!...

-----  
-----  
Noc już pierzchała... Szarość wiosennego przedświtu napęniała pokój...

Gdzieś zaturkotał wóz na ulicy... Ktoś przeszedł pod oknami...

Świtało...

T. Kulisiewicz. VII-b GPHS.

## Była sobie łódka...

Leżał na tapczanie. Twarz miał ukrytą w dłoniach. Nie powodziło mu się — ot — poprostu feralny dzień. W szkole mu powiedzieli, że go zostawia. Koleżanka nie przyszła na spotkanie. Nie ma szczęścia. Poco żyć? Przez okno wpadały promienie słoneczne, oświetlając przeciwną ścianę, na której rysowały się kontury wyhaftowanej na firance łodzi. Podniósł głowę, wzrok jego padł na łódkę i naraz poweselał. Ha! co tam szkoła, co głupia koza?!... Jest lato. Będzie mógł pływać, jeździć, zwiedzać. Ma rower, kajak.

I ujrzał wizję wesołych chwil. Ujrzał szo-

sy, czuł wiatr, wiejący w twarz, czuł fale, przepływające mu po ciele. Widział siebie pięknego, muskularnego, skaczącego z trampoliny, czuł zamykającą się nad nim toń. Zmienił pozycję, pierś się wydeła; ręce zarzucił pod głowę i z zadowoleniem oglądał swoje mięśnie. — Widział mknące drzewa, uciekające słupy. Szosa się kończy, zdaje się wpadać w las, nagle zakręcił i jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej nowy widok. Ruiny zamku, wznoszące się ponad rzeką. — Kajak kołysze się lekko, słońce praży, łopatki boją od wiosłowania. Jadą piękną kotliną o stromych, piaszczystych

brzegach, porośniętych lasem. W górze nad nami leży most — pal drzewny. — I już ostrożnie stąpa po wąskim moście nad przełęczą.

Świat wydał mu się piękny. Zapraǳnął go uścisnąć — skoczył z tapczanu.

Syk bólu wyrwał się z jego ust. Ręce chwyciły za pierś...

Leżał na tapczanie, mały, skurczony, twarz

miał ukrytą w dłoniach — płakał. Słońce już nie oświeślało przeciwległej ściany. Suche wargi szeptały cicho — myśl wżerała się pod czaszkę, świdrowała mózg. — „Nie będę jeździł, zwiedzał, pływał — już nigdy“.

W pokoju panował półmrok. Słońce nie oświeślało przeciwległej ściany.

J. Miętkiewicz. GPHS.

Hallo! Hallo! Cna młodzieży! Mamy zaszczyt zawiadomić, że na wzór „Zielonego balonika“, „Szopki Pikadora“ czy „Cyrulika Warszawskiego“ zakładamy coś w rodzaju szopki na łamach naszej prasy. Na początek — niezbyt udatny — mamy zaszczyt przedstawić spłodzone na spiczastem kolanie arcydzieło: subtelną satyrę na współczesne pokolenie. Nie, przepraszam, to za wiele. To poprostu taka szopka, ani subtelna, ani satyra ani na współczesne młode pokolenie. Ale posłuchajmy:

## Bezkrwawe misterjum.

Dekoracje: Wnętrze szkolnej katedry. Na pierwszym planie: kreda. Błada i niedysponowana. W głębi Gąbki. Oświetlenie: upiorne. Od czasu do czasu grzmot. Osoby: kreda, gąbka, 1, 2, 3. Duchy matematyki, fizyki, francuskiego, propedeutyki. Chochoł. Woźna.

Akt I (i ostatni. Szkoda, co?)

Gąbka I: — Fúj, cała ociekam wodą. Te dyżurne za karę powinny zostać na drugi tydzień.

Kreda: — Już trzeci dzień mnie nie przebierają.

Gąbka II: — Wprost bucha z was pesymizm i... jak się to mówi... aha... sceptycyzm!

Gąbka I: — Z ciebie zato bucha pył kredowy — czy myjesz się tak często, jak...

Gąbka II: — Nie bądź niedyskretna, jak...

Gąbka I: — Teraz ty zaczynasz plotkować.

Gąbka II: — Czuję się obrażona, jestem gąbką z sali fizycznej, a dyżurne okazują mi mało szacunku...

Gąbka III: — Jakże wy jesteście niedystyngowane — phi! Klóćcie się w mojej obecności, wobec wytwornej gąbki od kwiatów.

Gąbka II: — Zarozumialec! Zupełnie, jak pewna laureatka Nobla in spe...

Gąbka III: — Nudzicie mnie.

Wchodzi duch matematyki w kształcie kuli, której ręce stanowią 2 styczne, głowa stożkowata, oczy 2 sinusy, w ręku logarytm. Duch łka.

Gąbki: — Co się stało?

Duch: — .... (słowo niecenzuralne) z plebem nie chcę mieć kątów przyległych... och...

Gąbki: — Co ci jest?

Duch robiąc łzawę minę, rozkłada się, szepcząc: „Co trza było i osiągnąć!“ Zasypia. Wchodzi duch francuskiego, propedeutyki, fizyki.

Duch francuskiego: — Ach, mon Dieu! Te uczenice! Horreur! Proszę sobie wyobrazić, że urwały się, aby mnie zamęczyć.

Kreda: — Czy mam ci dać do zrozumienia, że twoje paplanie nic nas nie obchodzi?

Duch francuskiego: — Męczą mnie! Nie

umieją się obchodzić z moim „participe parse!“ One są tak „peu intelligentes!“

Duch fizyki: — Ja mówię to samo.

Duch propedeutyki: — Jest to sąd ogólnotwierdzący.

Kreda: — Mdleję. Jakże wy jesteście piekielne nudziary.

Rozlega się głuchy trzask, jęk i na miotle wjeżdża czarownica. Z hukiem opada na stopień katedry i syczy: Ja jestem dwóją!

Wszyscy: — Oh!

Duchy: — Witaj, o pani! Ty, która jesteś naszą Ligą Narodów, która bronisz naszego prestiżu!

Duch fizyki: — O, jedyna moja obrono i osłono!

Dwóją: — Milczeć, purchawki! Spełniacie swoje role niżej krytyki. Jesteście zbyt przystępne, dostępne i ułatwione. Kto dziś nie może zrozumieć np. fizyki.

Znów huk. Błyskawica. Na koszu od śmieci zjeżdża z wyższych rejonów *duch poety*. Oczy ogniście, włosy w artystycznym nieładzie, ciało wybitnie kształtne, choć cokolwiek korpułentne.

Duch poety: — Ha, milcz! Ha, wiédźmo! Ha, ponad poziomy, ha! Poezja, to grunt, porosły wonnemi kwiatami natchnienia! Ha! Poczó dręczyć dusze fizyką. Ha, co?!!

Dwóją: — Wolnego, wolnego, powiedz-no, nieziemski, czy jesteś rad z tej klasy?

Duch poety: — Niestety, ha, Niestety. Nie kochają się one w arcydziełach awangardy, ani arjergardy, nie czytają wierszy futurystycznych, ale, co najgorsze, moich wierszy też nie czytają!!!

Dwóją: — Wracaj więc na swój Parnas, sługo muz, a ja tu zrobię porządek.

Poeta ulatnia się.

Dwóją do ducha fizyki: — Czemu stałam się dla ciebie jako ten chleb powszedni?

Duch fizyki: — Bo ten motłoch...

Dwóją: — Co?!

Duch fizyki: — Nie, nie, one tylko niebardzo przykładają się do nauki. Jasne?

Dwójka: — Ale czy rozumiesz?

Duch fizyki: — Ja wszystko rozumiem, tylko nie umiem się tak jasno wygadać.

Nagle w płasach wbiega Chochół. Jest to wiszący na wieszaku mundur z czerwoną tarczą i spodnie. Słania się i zgina na wszystkie strony, niby typ cokolwiek zalany. Poczem rozkazującym ruchem ręki wyrzuca duchy.

Dwójka chowa się w rogu katedry.

Chochół: — Kto tu ma największą władzę? Ja! Ze mną nikt nie śmie współzawodniczyć! Ja króluję we wszystkich sercach, a mam także znajomość w zaświatach, któż może mi dorównać?

Gąbki: — Nno — no!

Chochół: — Bratam się z aniołami, piję z nimi bruderszaft, oprowadzam je po podjasnogórskim ogrodzie. Ja, znawca dusz i serc niewieścich — ja Sawonarola, który tępi rozluź-

nienie obyczajów! Któż ośmieli się mizdrzyć w mojej obecności? Ja — świat...

Gąbki: — „Szkolny“.

Śmiech na sali — przepraszam — we wnętrzu katedry. Dwójka chichocze djabelsko.

Chochół: — Ja król — duch.

Gąbki: — Upiór chyba!

Gąbka I: — To ten z anielskiej humoreski.

Gąbka II: — Wygnać go!

Gąbka III: — Spalić, jak Florentczyka, do którego się porównywał!

Drzwi otwierają się z hukiem — powstaje przeciąg; dziki powiew zwiewa Chochoła, który wobec tego wieje. Dwójka chichocze. Gąbki układają się potulnie, robiąc wdzięczne miny. Kreda, skruszona, kruszy się na kilka części. Wkracza woźna, niosąc nakształt rycerza średniowiecznego zamiast miecza i tarczy — śmietniczkę i szczotkę.

Woźna — zamiata.

Dwójka — pakuje się do kałamarza.

Woźna — zamyka gąbki i kredę w katedrze.

J. F. VIII. PGS.

## Książka i czytelnik.

Ktokolwiek miał sposobność słyszeć przeciętne sądy ogółu o przeczytanych książkach, przekonał się, że poważna część czytelników nie wie, czego ma szukać w powieści. Bardzo często, — najczęściej może, szuka czytelnik podobieństwa między charakterami i sytuacjami w powieści, a podobnemi do nich w życiu.

Gdy podobieństwo takie odkryje, jest zupełnie zadowolony. A przecież niezawsze celem autora jest odmalowanie w powieści pana X., lub przygody pani Y. Wiele powieści zawdzięcza, coprawda, swoje powodzenie, takim podobieństwom sytuacji i charakteru. Ale jeżeli wielcy pisarze opierają często swoje utwory na sytuacjach, które miały miejsce, lub modelują charaktery według osób żyjących, to nie w tych podobieństwach tkwi znaczenie utworu, lecz w typie, stworzonym przez poetę, w sytuacji wyzyskanej dla dobrego oddania wszystkich jego rysów.

Inni czytelnicy załatwiają wszystkie trudności, które przedstawia wydanie sądu o przeczytanej książce, używając jakiegoś mniej lub więcej niezrozumiałego wyrazu. Bohater powieści popelnia szereg nieprawdopodobnych czynów, lub zachowuje się w sposób nienaturalny, wtedy zamiast analizować, rozstrzyga się wszystko jednym słowem: Symbol! Symbol, czy nie symbol, nie idzie tu o nazwę tylko o zrozumienie wewnętrznych pobudek psychologicznych. Bohater musi być człowiekiem żywym — bez tego bowiem, powieść staje się pouczającą alegorją, ale nie posiada wartości artystycznych.

Krytyka dzisiejsza nie może zadawałniam się wykazywaniem usterek utworu, lecz musi często interpretować. Powieść uległa znakomitemu rozwojowi. Stała się filozoficzną. Autor opiera rozwój akcji i charakterów na zasadach, które wykazały badania naukowe i na ewolucji indywidualnej i społecznej. To podniesienie powieści do wyrazu myśli epoki, to wciągnięcie jej w zakres żywotnych zagadnień doby bieżącej, lub wieczystych problemów bytu, oddaliło ją od pierwotnego typu wdzięcznej opowieści, o przygodach rozdzielonych kochanków, i czyniło z niej dźwignię w szerzeniu nowych idei, czyniło z niej wychowawczynię pokoleń.

Wprowadzenie na szeroką skalę pierwiastków społecznych stanowi wybitną cechę współczesnej powieści, która, przedstawiając rozwój indywidualności człowieka, lub omawiając wpływ organizacji na kształtowanie się jego charakteru, niezawsze jest wiernem odbiciem życia i niezawsze symbolem. Ale nie to jest najważniejsze. Po przeczytaniu książki trzeba zastanowić się nad charakterem uczuć, jakie w nas dana powieść wywołała, a uczucia te niezawsze są estetyczne i mogą zależeć od różnych okoliczności. Dewotka, marząca o niebie, dozna dreszczy zgrozy na widok pospolitego bohomazu, przedstawiającego męki piekielne, młodzież przedwcześnie dojrzała z dreszczami innego rodzaju wczytuje się w utwory Przybyszewskiego, lub jego naśladowców, zupełnie nawet pozbawionych talentu. Lecz te uczucia nie są estetyczne i nie mogą służyć za miarę wartości dzieła. Trzeba wyrobić sobie smak przez

czytanie prawdziwych arcydzieł, a nie gonić tylko za nowościami, które niezawsze odpowiadają wymaganiom estetyki, a popularność ich jest często bardzo krótka.

Od nas przecież zależy wyzwolenie się od despotyzmu mody, od panowania nad naszym umysłem wyłącznie tylko nastroju chwili, w

której żyjemy. Nie znaczy to, że należy czytać tylko powieści dawne. Przeciwnie, powieść współczesna może dać nam wiele, ale nie należy twierdzić, że tylko nowości mają prawdziwą wartość.

Z. Majchrzak. VIII. GPJS.

## Staropolskie misterja wielkanocne.

Rozdziały ewangelji, szczególnie św. Mateusza i Jana, odnoszące się do chwil bezpośrednio przed i po Zmartwychwstaniu, przedstawiają je w sposób zwięzły, ale żywy i plastyczny. Zaznaczono tam zlekka zmieniające się tło akcji, wprowadzono szereg osób, z postacią zmartwychwstałego Chrystusa na pierwszym planie, nietylko referując dialogi, toczące się pomiędzy nimi, lecz uwydatniając kilkakrotnie ich wygląd, wyraz twarzy i gesty. Tak tedy w poszczególnych ustępach zda się przesuwac przed naszymi oczyma szereg krótkich, lecz pełnych życia scen dramatycznych. Pierwsze próby inscenizowania tych rozdziałów ewangelicznych podjęto przed wiekami, zrazu wyłącznie na gruncie liturgji kościelnej.

Oto podczas mszy, lub nieszporów wielkanocnych, w pobliżu ołtarza, biało odziany kleryk, w roli anioła, oznajmiał niewiastom, szukającym Chrystusa, że grób Jego pusty, po czem intonowano pieśni wielkanocne i „Te Deum“. Przez rozszerzenie tej sceny odczytaniem innych ustępów z ewangelji i śpiewaniem pieśni, oraz przez dodawanie do niej scen innych o treści, zaczerpniętej bądź z Pisma św., bądź z legend i opowieści chrześcijańskich, powstał zczasem cały dramat, należący do kategorii dramatów religijnych, zwykle misterjami zwanych.

Początek misterjów sięga X wieku; odgrywali je w kościele duchowni w języku łacińskim. W okresie szczególnego ich rozwoju, mianowicie w w. XV i XVI, przeniesiono je na teren inny, pozakościelny, pod gołe niebo, lub na sale bractw pobożnych, poczęto starać się o bogatą, efektowną oprawę sceniczną, wprowadzono całe rzesze aktorów i statystów.

I u nas, w Polsce, znano oddawna ten rodzaj widowisk religijnych, tembardziej, że u sąsiadów, jak np. w Czechach, były one bardzo popularne. Żywy ich rozwój przypada, jak w innych krajach, na wiek XVI, nie słabnie jednak i w w. XVII, w którym rozkwitają u nas z przedziwną bujnością wszystkie wogóle działy literatury religijnej, rozmiłowanej w efektywnych przedstawieniach teatralnych.

Pierwsze oryginalne i najbardziej znane staropolskie misterjum wielkanocne, to Mikołaja z Witkowiecka „Historja o chwalebnein Zmartwychwstaniu Pańskim“, napisana w

drugiej połowie XVII w. Była, jak utrzymuje Windakiewicz, odgrywana przez specjalną kompanję t. zw. częstochowską, w okresie wielkanocnym, w kościele lub na cmentarzu, za zezwoleniem plebana.

W szeregu scen, przeplatanych czytaniem ewangelji i śpiewaniem starych pieśni wielkanocnych, kreśli Mikołaj dzieje Soboty i Niedzieli wielkanocnej, z zachowaniem porządku chronologicznego: od wydania rozkazu opieczętowania grobu, aż po zjawienie się Chrystusa pośród Jedenastu. Obok momentów, ściśle na tekście ewangelicznym opartych, przewijają się tu sceny zaczerpnięte bądź z inwencji autora, bądź z opowieści i legend, jak np. scena pilnowania grobu przez żołnierzy, kupowania wonnych olejków u aptekarza, scena w otchłani i t. p. W rozmowy, toczące się pomiędzy poszczególnymi postaciami dramatu, ujęte w wiersz gładki i potoczysty, tchnął autor wiele życia i prawdy, starając się o przystosowanie języka i tonu uczuciowego do charakteru osób i do sytuacji. Najpiękniejszą wśród nich jest rozmowa zmartwychwstałego Chrystusa z witającą Go Matką, pełna lirycznej słodyczy, rzewności i ciepła. Widowisko na dość szeroką zakreślone skalę, urozmaicone muzyką, wymagało znacznej ilości aktorów i statystów. Prócz Chrystusa, Marji, apostołów, niewiast, aniołów i uczniów idących do Emaus, występują tu: Lucyper, „Jadam“, Noe, Baptysta, łotr sprawiedliwy, Piłat, aptekarz, kapłani i straż żołnierska.

Mniej znane jest inne misterjum wielkanocne z XVI w., mianowicie zachowany w rękopisie „Dialog o Zmartwychwstaniu Pańskim“, pióra Wacława Potockiego. Tutaj, obok tradycyjnych postaci i sytuacji, wprowadzono cały szereg momentów nowych: pojawia się oto Piłat, żałujący wydanego na Chrystusa wyroku i Judasz z powrozem i Longin...

W nowszych czasach w całej Europie ten typ widowisk religijnych poszedł zupełnie w niepamięć, zachowując się tylko wyjątkowo gdzieś niegdzie. I nam, którzy czerpiemy wiadomości o staropolskich misterjach wielkanocnych z kilku zabytków literackich, oraz z interesujących rozpraw Brücknera czy Windakiewicza, wydają się one może czemś obcem i dalekiem dla psychiki i zainteresowań dzisiejsze-

go człowieka. A jednak... jeśli przypomnimy sobie, z jakim uznaniem przyjęto przed kilku laty pomysł wskrzeszenia misterjum wielkanocnego na deskach „Reduty“, jeśli zwrócimy uwagę na znaczne powodzenie filmów, ilustrujących życie Chrystusa, to musimy mimo wszystko przypuścić, że jakkolwiek zmieniły się warunki, ramy i formy życia i sztuki, przetrwa-

ło jednak w duszy ludzkiej to, co było jedną z głównych przyczyn powstania i rozwoju misterjów religijnych: pragnienie odetchnięcia i poza kościołem, w sferze artystycznej, tą świętą i piękną poezją, która płynie przez ewangelję smugą promiennego blasku, w ślad świetlanej postaci Chrystusa...

W. F. VII. GPRT.

## KĄCIK DLA MŁODSZYCH.

### Jak poznałem się ze „Światem Szkolnym“?

Gdy jeszcze nie byłem uczniem gimnazjum, dużo słyszałem o „Świecie Szkolnym“. Bardzo go chciałem poznać. Zostałem uczniem I kl. A GPHS. Przeszło pół roku oglądałem wszystkie korytarze, klasy, patrzyłem pod ławki, „Świata Szkolnego“ ani śladu. „To jest pewnie bujda“ — pomyślałem i przestałem szukać... Był dzień taki sam, jak inne. Panowie pytali i stawali dwóje, jak zwykle. Nic się niby nie zmieniło, a jednak coś zaczęło się dziać. Wyszedł pierwszy numer „Świata Szkolnego“. Koledzy z klasy ósmej rozmawiali o nim na pauzach. My, pierwszaki, chodziliśmy za nimi, myśląc o tem, kiedy go zobaczymy? Nie dał długo czekać na siebie. Zjawił się w naszej klasie także. Wyglądał nędznie. Miał różową sukienkę, któryś kolega z ósmej darował mu znaczek od czapki. Jakiś dowcipniś gęsie pióro. A rok 1936 pożyczzył mu swojej etykiety. Oprócz tego był bardzo chudy i pusty (nie miał działu dla młodszych). Nic dziwnego, że nam się nie podobał. Ponieważ jesteśmy, mimo wszystko dobrymi chłopcami, zaczęliśmy z nim rozmawiać. Dowiedzieliśmy się, że w marcu kończy 10 lat. Z tej też okazji składał mu serdeczne życzenia: pięknej okładki, długich lat zdrowia i powodzenia (żeby miał jak najwięcej abonentów).

H. Rozmanit. Kl. I-a GPHS.

### Czajka.

*W parowach, dotach brudny śnieg leży,  
Bruzdami woda płynie,  
A stara czajka swem okiem mierzy  
Łąki, czy gniazda nie minie.*

*Żalonym głosem przed kimś się żali  
Stroskany ptak z podróży,  
Bo gniazda swego nie widzi wdali,  
Uległo pewno burzy.*

*O mojej łąki, o mojej trawy,  
Toż ja wróciłam poto,  
By znów się trudzić i drzeć z obawy,  
Pracować przez całe lato?*

*Ja tak tęskniłam do cię przez zimę,  
Gniazdeczko moje kochane  
I tak się bałam, że ciebie minę,  
Lub, że cię nie zastanę.*

*Zmęczona jestem. Takam zmęczona!  
Wracam z daleka, o ludzie!  
Obawa moja oto spełniona.  
Tak odpoczywam po trudzie!...*

J. Fatyga. II-b. GPHS.

## S I E N .

### NOWELA.

Siedział przy stole. Przed nim leżało kilka książek i zeszytów. Czuł się strasznie zmęczony. Spojrzał przez okno. Na dworze panował zupełny spokój i cisza. Była piękna, księżycowa noc. Otworzył okno. Do pokoju wpadła fala ciepłego, wiosennego powietrza i wraz z nią jakiś daleki szum. Szum ten zbliżał się i rósł. Wkrótce mógł już rozpoznać warkot zbliżającego się samolotu. Przez chwilę słuchał, patrząc na światła przelatującego samolotu. Potem westchnął. Jakże pragnąłby być na miejscu tego lotnika i przez chwilę chociaż zakosztować przyjemności unoszenia się w ciepłym, wonnym, kojącym jak balsam w powietrzu. Pragnął doznać

rozkoszy latania w chmurach i czuć swą siłę i moc. Tymczasem ucichł szum przelatującego samolotu, a dźwięk zegara, bijącego jedenastą godzinę, sprowadził go ze świata marzeń na ziemię, do rozłożonego na stole podręcznika łacińskiego. Siadł przy stole i zaczął wypisywać słówka. Szło mu to jednak bardzo ciężko. Oczy kleiły się, a głowa ciążyła jak ołów. „Jednak jak ta łacina jest usypiająca“, pomyślał, „muszę polecić ją znajomym, cierpiącym na bezsenność, jako najlepszy środek nasenny“.

Niedługo jednak rozmyślał na temat łaciny, jako środka najskuteczniej przenoszącego w objęcia Morfeusza, bowiem znużony oparł głowę

na stole i postanawiając, po krótkiej drzemce, powrócić do usypiających „Georgik“, zapadł w błogi stan spoczynku. Przez chwilę jeszcze majaczył mu przed oczyma notes łacinnika i jutrzejsze dwie godziny języka martwego, (szkoda, że nie pochowanego), lecz wkrótce zapomniał o wszystkich okropnościach życia uczniowskiego (łacina, mata, dwójce, wywiadówki itp.) i przeniósł się duchem w świat marzeń i baśni.

Znajdował się na wysokości tysiąca metrów. Wsłuchiwał się w różowy warkot silnika i rozkoszował się czystym i wonnym powietrzem, wolnym od kurzu i dymów miasta. Czuł się wolny i swobodny jak ptak, bujający w przestworzach. Ziemia wyglądała jak olbrzymia, czarna płachta, poprzecinana tu i ówdzie rzekami, szosami i torami kolejowymi. Domy i osiedla tworzyły maleńkie punkciki. Miasta i miasteczka przedstawiały większe lub mniejsze plamki na bezkresnym obszarze ziemi. Wszystko to obejmowały jego oczy, promieniejące zadowoleniem i szczęściem. Był w swoim żywiole. Skakałby z radości, gdyby tylko mógł. Nie mogąc zaś w ten sposób wyładować swej energii, wyprawiał przeróżne sztuczki. A więc: becika (nie z ogórków, ani kapusty), looping, korkociąg (tylko nie do wyciągania korków), skręt w prawo, w lewo, słowem, co tylko przyszło mu do głowy. „Pluskał“ się w powietrzu, jak ryba w wodzie. Czuł radość życia, (której, niestety, tak

mało) i gdy myślał o tem, że kiedyś siedział w „budzie“ nad łaciną lub inną tego rodzaju „okropnością“, chciało mu się śmiać. Samolot zaś pędził z szybkością 150 klm. na godzinę. Karjobraz zmieniał się co chwilę. Obniżył lot. „Zszedł“ do pięciuset metrów. Widział teraz, jak na dłoni życie świata. Podziwiał piękno przyrody i w duszy jego rodził się hołd i uwielbienie dla Tego, który stworzył świat i życie. Czuł Jego potęgę i wszechmoc. To wszystko sprawiało, że w duszy jego panowała błogość i niezem niezmacony spokój. Maszyna zaś „pruła“ powietrze i pędziła wciąż dalej i dalej...

Naraz wprawne jego ucho pochwyciło jakiś dysharmonijny dźwięk w rytmicznej pracy silnika. Coś psuło się. Nagle postłyszał złowrogi trzask i silnik stanął. Chwilkę jeszcze widział obrotowy rozpedzonego śmigła i samolot zaczął spadać w dół...

Wiedział, że teraz nadszedł koniec, lecz nie żał mu było życia. Był przecież zawsze na to przygotowany. Nadto, choć życie jego było krótkie, to jednak tak piękne i obfite we wrażenia, że przeżył duszą więcej, niż w rzeczywistości...

Leciał w bezdenną przepaść...

Siedział na podłodze. Przed nim stał stół, a na stole leżała otwarta książka łacińska. W jednej chwili oprzytomniał. Tak, jutro dwie lekcje łaciny, a to był tylko sen.

„Władek“. GPRT.

## SZYBOWIEC.

Ponieważ już kilku kolegów, no i koleżanek, bo i wśród nich mamy zwolenniczki lotnictwa, zapytywało mnie, jak się to dzieje, że szybowiec, co ani motoru, ani żadnej innej siły poruszającej niema, lata i to nawet dosyć długo, więc udam „fachowca“ i postaram się zainteresowanym zjawisko to, zresztą bardzo proste, wytłumaczyć. Nie będę wspominał o historii rozwoju szybownictwa, ale przejdę od razu do zasady lotu szybowcowego.

Aby samolot, poruszający się w linii prostej, poziomej, pozostał w równowadze, suma sił i momentów winna być równa zeru.

Na samolot w locie poziomym działają następujące siły: ciężenie masy samolotu, siła nośna, siła oporu czołowego i ciąg śmigła, które obracając się, jakby wśrubowuje się w powietrze i daje siłę pociągową, która równoważy opór czołowy, zaś siła nośna, towarzysząca oporowi czołowemu, równoważy siłę ciężenia. W ten sposób wyżej wymienione siły wzajemnie się znoszą. W locie bezsilnikowym brak jest siły pociągowej, a zatem pozostałe trzy siły winny się równoważyć. Dzieje się to w ten sposób, że szybowiec nachyla się do ziemi, tak, że ześlizguje się on, jakgdyby po równi pochy-

łej, a ciąg śmigła zastąpiony jest składową ciężenia ziemskiego. Opór czołowy jest szkodliwy, trzeba go pokonać, by uzyskać niezbędną szybkość, a dzieje się to kosztem energii silnika, przy samolocie, a kosztem straty wysokości — przy szybowcu. Zaś siła nośna jest siłą użyteczną, przeciwdziałającą ciężeniu, utrzymującą — niosącą szybowiec w powietrzu. Stosunek siły nośnej do oporu czołowego jest różny dla różnych kątów natarcia i zależy od kształtów skrzydła. Dla każdego skrzydła istnieje takie jedno położenie względem kierunku ruchu (kąta natarcia), przy którym stosunek ten osiąga największą wartość, zwaną współczynnikiem doskonałości. Najmniejsze nachylenie linii lotu ślizgowego, które zależne jest od współczynnika doskonałości, nazywa się kątem planowania (kątem między linią lotu a poziomem). Więc w locie ślizgowym, bo tak się ten rodzaj lotu nazywa, szybowiec, opuszczony z wysokości, splanuje lotem ślizgowym i osiadzie lekko na ziemi.

Potrzebną do lotu ślizgowego wysokość zdobywa szybowiec, dzięki wyholowaniu go przez samolot, lub samochód, zapomocą linki. Szybowiec, wleczony na lince holowniczej, wznosi się podobnie jak latawiec; po osiągnięciu żądane-



C. w. j. bis „Skaut“.

wysokości pilot szybowca zrzuca linkę holowniczą, pochyla lekko szybowiec ku dołowi, pod właściwym mu kątem planowania i przechodzi w lot ślizgowy.

Nowszym stosunkowo jest sposób wyrzucania szybowca z katapulty. Szybowiec ustawia się na zboczu góry, możliwie najdokładniej pod wiatr i przytwierdza go się zapomocą zatrzasku, umocowanego przy ogonie, do kołka wbitego w ziemię. Do haka, z przodu szybowca, zakłada się liny gumowe, które następnie naciąga się, biegnąc ku przodowi. Gdy liny są już dostatecznie napięte, obsługa przy ogonie, na komendę pilota, uwalnia szybowiec z kołka i szybowiec wylatuje w powietrze, jak kamień z procy, linki gumowe samoczynnie opadają i rozpoczyna się lot ślizgowy.

Praktyka wykazuje, że szybowce opadają w locie ślizgowym z szybkością około jednego metra na sekundę. Jeżeli więc rozpoczniemy lot na wysokości 1,000 mtr. to po upływie tysiąca sekund, czyli około 17 min., szybowiec wyląduje. Polski rekord długotrwałości lotu należy do Z. Oleńskiego i wynosi 20 godz. 13 min. Z powyższego rachunku (szybkość opadania 1 m/sek.) wynika, że gdyby leciał lotem ślizgowym 20 godz. 13 min., to należałoby rozpocząć lot na wysokości 72,780 mtr. Rekord ten zdobyto w Ustjanowej, gdzie najwyższy szczyt wynosi 765 mtr. nad poziom morza. W jaki więc sposób wytłumaczyć sobie możliwość utrzymania się bez silnika na jednym poziomie w powietrzu, a nawet osiąganie znacznych wysokości (rekord Polski męski — 2,630 mtr., kobiecy — 2,230 mtr.). Ten problem rozwiązuje lot żaglowy, w zasadzie nieróżniący się ni-

czem od lotu ślizgowego, który może się odbywać w masie nieruchomego powietrza, jedynie z góry na dół, ale może przecież jednocześnie wraz z całą masą powietrza wędrować w górę. Taki lot w ruchomej masie powietrza, skierowanej ku górze, nazywa się statecznym lotem żaglowym. Ten ruch powietrza ku górze znany jest w meteorologii pod nazwą prądów wstępujących.

Przypuśćmy, że szybkość wznoszenia się powietrza ku górze wynosi 2,2 m/sek., przy założeniu, że opadanie szybowca wynosi metr na sekundę, szybowiec wznosi się ku górze z szybkością 1,2 m/sek., jeśli więc szybowiec pozostanie w sferze takich prądów wstępujących czas dłuższy, może zdobyć dość znaczną wysokość. Prądy ustępujące niezawsze i niewszędzie występują, cała więc trudność żaglowania polega na umiejętnym wyzyskiwaniu prądów wstępujących, co nie jest łatwe i wymaga dużej znajomości rzeczy. Doświadczony pilot żaglowy wyczuwa działanie prądów wstępujących, orientuje się również w ujemnym działaniu prądów zstępujących (z góry ku dołowi). To też od pilota żaglowego wymaga się więcej inteligencji i erudycji lotniczej, niż od pilota motorowego, a przede wszystkim znajomości meteorologii i orientacji w terenie.

Wspaniały rozwój lotnictwa uczynił człowieka ptakiem mocarnym, który wzbił się na stalowych skrzydłach wyżej od orłów, szybciej od jaskółek, prześcignął wszystkie ptaki i jeśli nie potrafi dotychczas trzepotać skrzydłami jak one, to za to jest mniej trwożliwy.

Zdzisław Szware, pilot szyb. GPHS.



# „Błękitny ptak” Maeterlincka.

„Błękitny ptak” jest dramatem symbolicznym i wymaga zarówno od wykonawców, jak i od widowni pewnego poziomu, pewnych wiadomości, bez których nie można zrozumieć idei utworu, znaczenia symboli i wogóle istotnego sensu całej sztuki. Ponieważ na przedstawienia szkolne przechodzą przeważnie dzieci z przedszkoli, szkół powszechnych i niższych klas, należałoby liczyć się z tym przy wyborze sztuki. Rozmawiałam z uczniami przedszkola. Pytali się, gdzie jest ten ptak, czy to przypadkiem nie papuga, dlaczego go nie pokazują.

Jeden chłopczyk wyraził się, że „to wszystko bujda, bo takich nieurodzonych dzieci to przecież niema”, a drugi tłumaczył mu: „To jest bajka, w bajkach zawsze są bujdy.” — „No tak, ale to już zupełnie sensu nie ma, takie dzieci, jakby nawet były, to nie mogą być duże i nie umieją (sic) robić samolotów.”

Dzieci nie rozumiały także zupełnie symbolicznego znaczenia poszczególnych osób i tłumaczyły je po swojemu czasem bardzo komicznie. Moim zdaniem, znacznie lepiej nadawałaby się jakaś łatwiejsza baśń czarodziejska, czy komedijka; sztuki poważniejsze i trudniejsze

należałoby raczej zostawić „doroślejszym” teatrom.

Jeżeli chodzi o stronę artystyczną i wykonanie, to naogół przedstawienie wypadło dobrze.

Z głównych postaci na uwagę zasługuje Tyltyl, którego grała Madzia Dzieniakowska. Jedną z największych zasług Madzi jako „aktorki” jest to, że przygotowuje ona starannie swoją rolę, umie ją na pamięć, (czego, niestety, nie można powiedzieć o wszystkich wykonawczyńkach) i recytuje ją z wdziękiem i odczuciem. Dobrą grą i ładnym kostjumem wyróżniła się także kol. Wieczorkówna w roli kota. Świetnie naśladowała przeciągające się i łaszące ruchy kotki. Dobry był także Chleb i Pies, który nie wiedzieć czemu ubrał się w kontusz.

Tańce były przeważnie bardzo ładne i dobrze przygotowane. Na wyróżnienie zasługują następujące numery: taniec gwiazdek, godzin, taniec solowy kol. Respondkówny, duet kol. Świdrówny i Respondkówny i taniec solowy kol. Kobyleckiej.

Kostjумы były ładne i barwne, chociaż niezawsze dostosowane do okoliczności i osób, w nich występujących.

*el-ef. Kl. VIII. GPJS.*



*Polski lot balonowy do stratosfery, dokonany przez kpt. Burzyńskiego (na prawo) oraz dr. Jodko-Narkiewicza (na lewo).*

## ZE SPORTU.

### JEDEN DZIEŃ — DWIE PRZEGRANE.

W tych dniach odbyły się dwa mecze treningowe w siatkówkę pomiędzy GPHS. a Związkówką i Handlówką.

Oba nie stały na zbyt wysokim poziomie, a gra była ospała i mało urozmaicona.

Pierwszy mecz Związkówka — GPHS. zaczyna się dość szczęśliwie dla tego ostatniego, gdyż zdobywa ono dwa punkty. Wyróżnić trzeba Maciałowicza, który ładną ściętą zdobywa drugi punkt dla GPHS.

Ale teraz dochodzi do głosu Związkówka i partja kończy się jej wygraną 15:8.

W drugiej partji prowadzi od początku Związkówka, która jest przeciwnikiem znacznie silniejszym technicznie i fizycznie od GPHS. i ta partja kończy się także jej zwycięstwem 15:9. Ostatecznie mecz wygrywa Związkówka 2:0.

Przez cały czas meczu decydującym czynnikiem na boisku był Gągała, któremu dzielnie dopomagał Szmeikał. Z GPHS. wybijają się: poświęceniem — Stępień, techniką — Solecki, a czasami — Maciałowicz, który potrafi grać jak artysta i jak partacz.

Drugi mecz, to Handlówka — GPHS. Handlówka jest technicznie i fizycznie o wiele słabsza od Związkówki, a jednak pokonała GPHS. w stosunku 15:6 15:4.

Mecz ten odbył się w błyskawicznym tempie. Gra stała na bardzo niskim poziomie. Dopiero pod koniec meczu GPHS. wzięło się do pracy, a wtedy było już za późno.

Widz.

## Z kinoteatrów.

### TAJEMNICA CZARNEGO POKOJU.

Film niesamowity. Fabuła? Nihilnovi...

Dokumenty rodzinne, w których napisano o bratobójstwie... Stara legenda... Fatum ciążyące nad rodem... Nikt w nie nie wierzy... A jednak? mijają lata... Morderstwa... Ale sprawiedliwości staje się zadość! Potwór ginie oczywiście zgodnie z przepowiednią. Sprawdzają się słowa starej kroniki...

Dodając posępne kontury zamku, tajemnicze komnaty, mądrego psa, który wykrywa demona i inne niezbędne akcesoria niesamowitości, stworzono całość lepszą, niż przeciętną, mniej, niż dobrą. Czy należy wierzyć w przepowiednie? Film mówi „tak“, ale motywuje słabo i nieprzekonywująco. Naogół przesady niema. To najważniejsze. Zdjęcia czyste z dobrze wyzyskanymi kontrastami światła i cieni, miejscami technicznie niezłe, podwójne z Karloffem nakręcono wcale udatnie. Borys Karloff gra zupełnie zadawalająco w nieco odmienną rolę,

nie stwarza jednak najlepszej kreacji jak gdzieś czytałem.

### BURLAK Z NAD WOŁGI.

Bardzo udatnie wyreżyserowany obraz. — Niewątpliwie Stryzewskij opracował „Burlaka“ z niezwykłą starannością i precyzyjnością, a jako Rosjanin oddał rosyjskość najzupełniej poprawnie, rosyjskość tak po macoszemu traktowaną w większości filmów francuskich z życia Rosji. Pod takim kierownictwem obraz wypadł bez zarzutu, zmontowany w logiczną jasną całość. Niezłe w pomyśle było opowiadanie burlaka (b. porucznika) o swej przeszłości, Stryzewskij nie pozwala widzowi nudzić się. Nigdy nie przeciąga scen (dIALOGÓW w szczególności) zbyt długo, umiejętnie przeplatając je widokami Wołgi. A propos piękne plenery. Tyle w nich po wietrze, tyle słońca, gdy ekran dzieli długa linja brzegu... W dole wody Wołgi, w górze niebo. Ładne chóry rosyjskie.

Wogóle nacisk położono na stronę artystyczną filmu, pomijając „okrucieństwo carskich zbirów“, „blask i nędzę caratu“. Tego w „Burlaku“ niema. Utrzymano normę pozbawioną przesady. Stryzewskij patrzy na film oczyma artysty, unikając popularnej w obrazkach sowieckich propagandy. Język francuski brzmi ładnie w ustach wytwornych „mesdames et messieurs“ w salonie, albo w piosence Chevalier'a w „Casino de Paris“. Ale burlak, harmonja... et. une chanson francaise stanowi niemały kontrast. Blanchard, Wiera Korene grają dobrze.

## Redakcja mowi.

Z pośród projektów na okładkę do obecnego numeru jubileuszowego Redakcja zatwierdziła projekt kol. Niekrasza — GPHS. Równocześnie składamy tą drogą podziękowanie za przysłane projekty kol. H. P., W. Bieleckiemu — GPHS. i J. Widerze — GPHS.

Następny numer ukaże się w połowie maja.

Prace należy nadsyłać punktualnie do dnia 30 kwietnia na ręce redaktora W. Żesławskiego — GPHS.

Zebrań przedstawicieli „Świata Szkolnego“ odbędzie się w gmachu Gimn. Państw. im. H. Sienkiewicza dnia 18-go kwietnia 1936 roku o godz. 5-ej po poł.

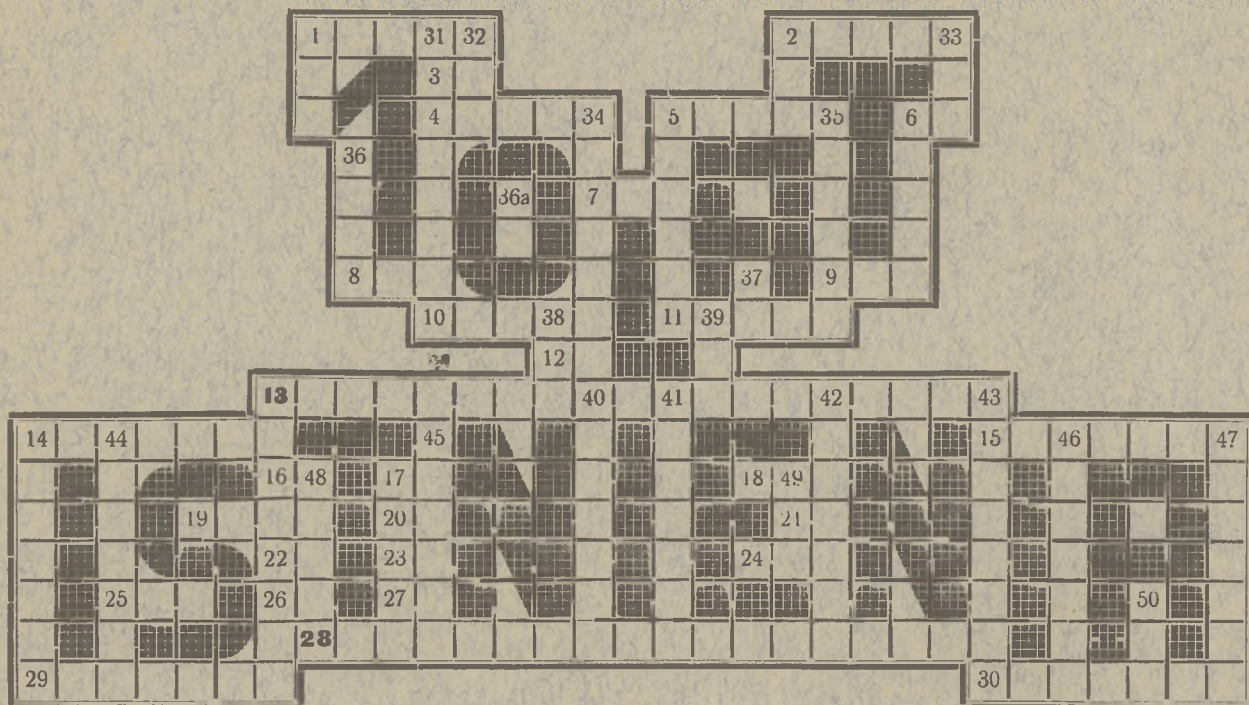
Delegaci proszeni są o uregulowanie wszystkich zaległości.

Podajemy do ogólnej wiadomości, że na ostatnim zebraniu Rady przedstawicieli wybrana została Komisja Rewizyjna. W skład weszli kol. kol.: Z. Bałewski — GPHS., Z. Majchrzakówna — GPJS., Dziedzic — Szk. Handlowa.

# Dział rozrywkowy.

## Logo-Krzyżówka Jubileuszowa

Ułożył: „OTELLO“



*Znaczenie wyrazów. Poziomo:* 1. Rządca prowincji w dawn. Polsce. 2) Nieprzemakalny materiał na ubiory dla turystów. 3. Inicjały poety polskiego. 4. Bagnisko, trzęsawisko. 5. Pałac we Florencji, słynny architekturą i najpiękniejszą we Włoszech galerią obrazów. 6. Ziemia w wierzeniach chińskich (wsp.). 7. Gubernator prowincji w Abisynji. 8. Oddział wojska, pułk. 9. Zwyczaj handlowy. 10. Zwolnienie z długu. 11. Likier kminkowy. 12. Miara handl. wina reńskiego (wsp.). 13 — 28 *Główne rozwiązanie.* 14. Malarz polski (1828—1868). 15. Druga żona ateńczyka Peryklesa (w V w. przed Chr.). 16. Zaprzęg dwukonny. 17. Litera fon. 18. Rodzaj głosu. 19. Związek, przymierze. 20. Zaimek os. (wsp.). 21. Ton. 22. Rzeka półn. 23. Litera grecka. 24. Faun. 25. Lennik, hołdownik. 26. Posiada. 27. Litera fon. (wsp.). 29. Kraj w Afryce. 30. Obywatele najznakomitsi stanowiskiem, wykształceniem i majątkiem.

*Pionowo:* 1. Belka wiązania okrętowego. 2. Kawałek ziemi, kupionej na osadę. 5. Step węgierski bezleśny, porośły trawą. 6. Owad zupełnie wykształcony. 13. Tłumacz urzędowy na Wschodzie. 14. Rasa krów. 17. Murzyn australijski. 31. Sprzęt ozdobny, zawierający przyrządy do pisania. 32. Liczebnik. 33. Wpust, żłobek (w stolarstwie). 34. Farba niebieska z nasion słonecznika. 35. Natręt, wdzierca. 36. Mu-

za historii. 36-a. Barć. 37. Zaimek os. 38. Tytuł staropolski. 39. Jednostka monetarna bułgarska. 40. Kamień lazurowy. 41. Grób, nagrobek. 42. Nazwa dawnego więzienia kryminalnego w Warszawie. 43. Instrument muzyczny złożony z dzwonek. 44. Najwyższa wartość lub ilość. 45. Jezioro w Polsce (wsp.). 46. Przeciwnik w pojedynku. 47. Nazwa dawana Irlandczykom w St. Zjedn. Ameryki Półn. przez wychodźców Polaków. 48. Siódmy dzień wypoczynku u Izraelitów. 49. Ptak. 50. Miejscowość w Szwecji.

### ROZWIĄZANIE „BILETÓW WIZYTOWYCH“

Szlifierz. Lekarz-dentysta. Organista.  
Gazeciarz. Subjekt.

### ROZWIĄZANIE SZARADY.

Ge-ne-ra-li-cja.

### ROZWIĄZANIE REBUSIKÓW.

Naczynie, podkowa, izaak, potas, zaimek, poseł, nafta.

Za trafne rozwiązania zadań z N-ru 1-go „Świata Szkolnego“ nagrody książkowe otrzymują: kol. kol. H. K. — GPJS., L. Z. — GPJS., J. Sierocin — GPRT. i W. Zabłocki — GPRT.

TOWARZYSTWO ELEKTRYCZNE OKRĘGU CZĘSTOCHOWSKIEGO S. A.  
*otworzyło*

## SALON WYSTAWOWO-PROPAGANDOWY

DEMONSTRACJA BEZ OBOWIĄZKU KUPNA

**Aparatów grzejnych** mających zastosowanie do gospodarstwa domowego.

**Aparatów radjowych** pierwszorzędnej jakości.

NALEŻNOŚĆ ZA ZUŻYTY PRĄD

ALEJA 22

KASA SALONU PRZYJMUJE

ALEJA 22

od godz 3-ej do godz. 17-ej.

Częstochofskie Zakłady Wyrobów Włókiennych

# „STRADOM”

SP. AKC.

Zarząd w Warszawie pl. Napoleona Nr. 9.

Fabryka Papieru i Młyny w Częstochofie

**Bracia L. i A. Kohn i J. Markusfeld**

Spółka Komandytowa

Częstochowa, ul. Narutowicza Nr. 25/27.

Papiery gazetowe, rotacyjne, drukowe, piśmienne i tapetowe.

Uczniowie uczęszczają tylko do  
kina „ATLANTIC”  
ul. Ogrodowa — obok Katedry.

Częstochowskie Zakłady Ceramiczne  
**S. B. HELMAN**  
Częstochowa, ul. św. Jacka 14,  
tel. 13-28, 17-28.

„ELIBOR”

Sp. Akc. Handlowo-Przemysłowa

**Ł. J. BORKOWSKI**

Piotrowska 31 Oddział w Częstochofie Piotrowska 31

Telefony: Biuro 20.75 — Składy 11.19

dostarcza detalicznie ze składu i wagonowo:  
żelazo sztabowe i bednarki gor. walc., belki do budowy,  
blachy żelazne, cement, gwoździe, karbid, węgiel koks.

SP. AKC.

**Gnaszyńskiej Manufaktury**

Wyroby:

Iniane, jutowe i konopne

Częstochowa

Gnaszyn